

ŚWIAT



WARSZAWA GODZINA 19...

to tytuł naszego fotoreportażu wykonanego dla „Świata” po raz pierwszy specjalną techniką fotograficzną. Patrz strona 12 i 13

Fot. „Świat” — W. Stawny



W dniu 22 listopada 1954 roku zmarł nagle w Nowym Jorku wybitny mąż stanu — członek Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, pierwszy zastępca ministra spraw zagranicznych ZSRR, deputowany do Rady Najwyższej ZSRR, członek Akademii Nauk ZSRR, Andrzej Wyszyński.

N

AWET z Chandrą Unyńską nie można porównać tego miasteczka. W Wysokiem Mazowieckiem nie ma bowiem stacji kolejowej. Osiemdziesiąt lat temu przekopano stąd drogę do Szepietowa, leżącego na linii Warszawa — Petersburg, i dziś — jak osiemdzie-

siąt lat temu — trzeba z Szepietowa „dostawać się” do Wysokiego. Nie zawsze jest to rzeczą prostą, gdyż PKS-y wcale nie ze wszystkich pociągów odbierają pasażerów. W pewnych porach dnia nie ma innego wyjścia, jak podróż furgonem, w którym przy ziąbie listopadowym zawiewa przeraźliwym przeciągiem od przodu, tyłu i boków, a przy deszczu woda ciurkiem przecieka przez szpary. Zeszłowieczny dyliżans, przyrównany do owego furgonu, zdalby się zapewne środkiem komunikacji wytwornym i nad wyraz okazałym.

Dokumentnie więc omijała kolej żelazna osadę, a potem miścinę Wysokie Mazowieckie, położone w kotlinie między dorzeczem Narwi a dorzeczem Bugu. Omijała ją zarówno kolej, jak oświata, kultura i higiena. Omijała ją przemysł i omijał ją postęp. „Dopiero w roku 1874 zaczęto robić chodniki brukowane i oczyszczać ulicę z błota” — informuje Słownik Geograficzny. Nawet prawo jarmarku, a ściślej mówiąc czterech jarmarków, nadane niegdyś przez miłościwie panującego Stanisława Augusta, nie zdołało trwale podźwignąć miasteczka. Stało sobie nieruchawie, niczym głuśne bajory — otoczone wsią głuchą i ciemną. Przewalały się tędy wojny, jedna po drugiej, zawsze niszczące, a często palące. Z dymem poszło Wysokie raz w szwedzkiej poźodze, drugi raz z początkiem wojny ostatniej. I dziś jeszcze, gdy staniesz na krańcu drogi biegnącej przez miścinę i spojrzysz przed siebie — nie ogarniesz okiem ponad rząd lepiank, skleconych z budulca przygodnego, byle jak, naprędce, w pośpiechu popożarowym, który bywa przecież krwawym, rozpaczliwym pośpiechem. Jednak mieszkańcy tych ruder, smutnych i zmurszałych, nie wierzą w gadkę o tym, iż nie

MIAS

ma nic trwalszego ponad tymczasowość — i z uporem bardzo niecierpliwym wyglądają zmian. O ludzkiej niecierpliwości i o załączkach zmian opowiem za chwilę. Na razie pozwólcie jeszcze wrócić do czasów minionych.

Nic dziwnego, że w miasteczku skrzętnie omijanym przez kolej, oświatę, kulturę, higienę, postęp i przemysł — uprawiali harce orędownicy ciemnoty. W latach międzywojennych jedyną sławą, jaką zasłynęło Wysokie Mazowieckie, były burdy antysemickie, które zresztą nie oszczędzały i okolicy, gęsto zamieszkałej przez ludność żydowską. We wrześniu 1936 roku doszło w Wysokiem do ekscesów. Bilans: kilkadziesiąt osób rannych, tysiące wybitych szyb, tysiące złotych szkód. Normalne właściwości owych ponurych i nierzadkich wtedy w Polsce widowisk wystąpiły tu z regularnością niemal klasyczną. Proces przeciw sprawcom zajęć wykazał mianowicie, że starosta posiadał wiadomości, z których jasno wynikało co się święci — lecz... „był bezradny”. O przygotowaniu ekscesów słyszeli również policjanci — lecz... „było ich za mało”. W Łomży kilka dni przed zajściami endecy rozpowszechniali ulotki wzywające „masy narodowe” do rozrachunku z Żydami i komunistami między 15 a 20 września — lecz... „któż by się tam podobnymi wybrykami zajmował”. Naprawdę zajęli się i przejęli sprawą jedynie polscy robotnicy z pobliskich miast, którzy uprzedzili o zapowiedzianym „rozrachunku” swych żydowskich towarzyszy. W obliczu „beznadziejnych” starostów i „nielicznych” policjantów, czyli — innymi słowy — w obliczu sprzyjających napastnikom władz — trudno jednak było zapobiec przygotowanej napadzie.

Sam proces odbył się pod sanacyjnym hasłem: „Bojkor ekonomiczny — owszem”, jakkolwiek prokurator markował liberalizm i praworządność, nie mogąc widocznie chwycić się zbyt już jawnie kłamliwej wersji o tym, jakoby straganiarze żydowscy zaczęli strzelać do chłopów. Głównym organizatorem ekscesów zdołano zresztą zaoszczędzić przykrego pobytu na ławie oskarżonych, kilkunastu zaś pomniejszym rozbitekom wlepiono „dla pucu” po kilka miesięcy więzienia. A w przemówieniu końcowym prokurator zwracał się do oskarżonych wypowiedział tonem pobłażliwie karzącym te oto humanitarne słowa:

SWIAT NASZA KRONIKA

W ROKU bieżącym nie przypada żadna okrągła rocznica powstania listopadowego. Myśli jednak nie słuchają kalendarza. Przychodzą same, niewołane i nieproszone, przedzierające się sobie tylko wiadomymi drogami niezwykłych skojarzeń. Listopadowa pora w Warszawie zawsze niemal przywodzi na pamięć tamten wieczór 29 listopada 1830 roku, pełen w tym mieście gwaru, niepokoju, wystrzałów i zamętu. Dopiero dnia następnego, jak pisze historyk owej doby, Barzykowski, „na ratuszu ukazał się orzeł biały z napisem naokoło, wziętym z Mickiewicza: „Witaj jutrzeńko swobody, za tobą nadziei słońce...”

Wacław Tokarz, historyk już naszego wieku, o pierwszych chwilach tego powstania pisze: „Rozdanie broni z arsenału, dokonane nie ze świadomością programową, lecz pod bezpośrednim naciskiem ludu, było jedyną mimowolną inicjatywą powstania w tej chwili przełomowej”.

Byli jednak tacy, co już pierwszej nocy powstania ludowi chcieli broń odbierać. Na razie musieli ze swych zamiarów zrezygnować, ale później swego dopięli. Główny problem wszystkich powstań, aby stało się ludowym, pozostał i wówczas, jak i później w 1863, nierozwiązany.

Chodziło zresztą wówczas przede wszystkim nie o masy ludowe miejskie. Chodziło przede wszystkim o chłopstwo. Ludność Królestwa Kongresowego w roku 1830 wynosiła niewiele ponad cztery miliony. Z tego chłopów było trzy miliony — na 200 tysięcy dziedziców i dzierżawców.

„Dlaczego masy nie powstają?” — zapytywał się Maurycy Mochnacki, czujny, nerwowy, niekonsekwentny, wahający się, zmieniły trybun lewicy powstańczej. Jechał Mochnacki przez kraj, opuściwszy powstańczą Warszawę, i zdumiewał się spokojem tego kraju, jego niereagowaniem na sprawę powstania. Rzeczywiście trudno było, by nastąpiło poruszenie mas, gdy uczyniono wszystko, co w ludzkiej mocy, by powstanie pozostało wyłącznie sprawą owych dwustu tysięcy posiadaczy ziemskich, a nie sprawą ogólnonarodową.

MOGŁO było powstanie listopadowe stać się sprawą narodową, ale na to nie trzeba było odbierać broni czeladnikom, terminatorom, pospólstwu stolicy, ale trzeba było uzbroić chłopów, porywając ich do walki o Polskę rozwiązaniem dręczących ich problemów, zniesieniem jarzma pańszczyźnianego. Egoizm klasowy szlachty za-

ciążył na losach wszystkich powstań polskich: szlachta nie chciała Polski, która by nie utwierdzała jej odwiecznych ekonomicznych i politycznych przywilejów.

Był to nierozwiązalny dylemat dziejów Polski, zarysowany w dniach powstania listopadowego z wyjątkową wyrazistością. Nie było żadnej siły, która by mogła zmusić szlachtę do tego, by sprawę niepodległości Ojczyzny i wygrania powstania postawiła ponad swoimi interesami. Wszelkie dążności bardziej postępowe, reformatorskie, wychodzące z bardziej rozsądnego, bardziej postępowego oświaty samej szlachty, były dławione i bezlitośnie tępiły. Gdy pod naporem klęsk skrócony sejm na wiosnę 1831 roku uchwalał zapowiedź zniesienia pańszczyzny, to szybko sejm w pełnym składzie, gdy wiadomości z frontu przychodziły nieco lepsze, uchwałę tę anulował.

Sprawa powstań, które mogły być stać się narodowymi, a zostały tylko szlacheckimi, to jedna z najbardziej tragicznych kart historii naszej. Podobnie zresztą jak i dzieje Polski lat 1818—1839, lat rzekomej, pozornej niepodległości, wypełnione w rezultacie tą samą walką, co powstania kościuszkowskie, listopadowe i styczniowe. Tyle, że wówczas już burżuazja robi swoje, odsuwając praktycznie szerokie masy ludowe robotniczo-chłopskie od wszelkiego wpływu na losy państwa.

DZIŚ w toku kampanii przedwyborczej do rad narodowych odkrywamy wielkie, nieraz jeszcze nie wyzyskane źródła siły naszego nowego, polskiego, ludowego państwa. Sta-

jemy wobec twórczej inicjatywy mas, wobec zrodzenia się dziesiątków tysięcy, setek tysięcy działaczy tego państwa, biorących na siebie trud gospodarzenia i rządzenia. Stajemy wszyscy w obliczu wielkiego triumfu prawdziwej, ludowej demokracji.

Sprawa jest ta sama co w listopadowym powstaniu, co w innych momentach ważnych życia narodowego, co w okresie międzywojennego dwudziestolecia, choć tu widzimy ją już od drugiej strony. Sprawa niepodległości Polski, jej rozkwitu i jej utrwalenia przez dziesiątki lat uzależniona była od tego, by cały naród uczynić narodem, a nie podwładnym jednej wąskiej, nielicznej klasy społecznej, a nie podwładnym wyzyskiwaczy. Upadała Polska wielokrotnie aż do klęski września 1939 roku na skutek tego, że naród nie mógł w Polsce sobą, że Polska nie była Polską narodu, ale garstki sprędzonych nieraz, zdradzieckich wyzyskiwaczy.

W wojnie czy w pokoju, w walce powstańczej czy w pracy codziennej Prawa pozostała, jak była, ta sama Polska musi należeć do narodu. Kto odda Polskę narodowi, ten może oczekiwać tylko jego wdzięczności, ten na każdym kroku spotka nowe siły, nowe życie, rozkwitające w blasku wolności. To klasa robotnicza, to lud polski, to Partia oddała Polskę narodowi. Stąd nowe, wielkie siły płynące dla Polski. Ograniczanie Polski do sprawy jednej klasy społecznej, klasy wyzyskiwaczy, przynosiło same klęski. Oparcie Polski o cały naród przyniosło trwałe zwycięstwo.

JAN SZELĄG

TECZKO NA UBOCZU

— Województwo wyasygnowało na rzecz poszkodowanych 500 złotych, a rada miejska 3 tysiące złotych. Czy nie rozumiecie, że te pieniądze można by zużyć na pomoc dla waszych braci — bezrobotnych?

Co w tłumaczeniu na język mniej humanitarny znaczy: „Nie warto biec Żydów, bo to impreza kosztowna, a dość już mamy kłopotów z własnymi bezrobotnymi”.

Tak to się działo w Wysokim Mazowieckiem i okolicach na trzy lata przed drugą wojną światową.

Prasa sanacyjna oczywiście milczała. Zamykano się natomiast skwapliwie i zyczliwie innymi sprawami. 19 września 1936 roku, a więc właśnie w 5 dni po ekscesach w Wysokim Mazowieckim, „Światowid” zamieścił obszerną informację, opatrzoną ilustracjami, pod tytułem „Zjazd partyjny w Norymberdze”. Oto tekst informacji:

„Dnia 9 września br. został w Norymberdze otwarty tzw. Kongres Partyjny na rok 1936. W uroczystościach tych wziął udział kanclerz Hitler oraz szereg gości zagranicznych, m. in. z Anglii.

„Główne przemówienie wygłosił kanclerz Hitler i jego zastępca Hess, zwracając się energicznie przeciwko komunizmowi, jako największej piadze współczesnej, z którą należy walczyć. Kanclerz Hitler podkreślił, że Niemcy nie obawiają się czerwonych władców z Kremla, gdyż są już dostatecznie dobrożone i reprezentują się. Upomniął się także kanclerz o kolonie. Inni mówcy w gwałtowny sposób występowali przeciwko Żydom.

„Przez kilka dni Norymberga żyła w podnieceniu, goszcząc setki tysięcy ludzi, którzy karnie stawili się na apel wodza i przedefilowali przed jego obliczem”.

Tak to się działo w wielkiej polityce na trzy lata przed drugą wojną światową. Między tym, co się działo w wielkiej polityce, a tym, co działo się na przykład w małym miasteczku na Białostocczyźnie, historia wykryła oczywisty związek.

O biednej, smutnej przeszłości Wysockiego wiedziałam jadąc do tej miejsciny... W tutejszym powiecie byłam już rok temu — wtedy jednak pochłonięty mnie całkowicie sprawy skupu zboża. Walka klasowa przebiegała tu ostro i w sposób łatwo widoczny. Zapisal mi się wtedy w pamięci przewodniczący tutejszej Powiatowej Rady Narodowej, Eugeniusz Strzałkowski, który w prowadzeniu akcji skupu wykazywał — według mnie — wnikliwe rozeznanie, dużo energii i rozmachu. Ucieszyłam się bardzo, gdy się dowiedziałam, że towarzyszy Strzałkowski — przeniesiony zresztą na stanowisko przewodniczącego PRN do Białegostoku — kandyduje teraz na radnego do Wojewódzkiej Rady Narodowej. Przyznaję, że radość moja była nieco samolubna: zawsze to przyjemność dla dziennikarza nie pomylić się w ocenie człowieka.

Zamiar napisania reportażu o mieście Wysockie Mazowieckie, zrealizowany dopiero teraz, powiem także mniej więcej przed rokiem. Pewnego dnia mianowicie radio doniosło, że w Wysockim oddano do użytku szpital powiatowy na dwieście łóżek, wyposażony w najbardziej nowoczesne urządzenia, obejmujący kilka oddziałów, kierowany przez doświadczonych lekarzy. Więc nowoczesna inwestycja w małej miejscinie; więc postęp i zdrowie na głuchej prowincji; więc konfrontacja, więc stare i nowe, więc — temat!

Toteż w tym roku „obchód miasteczka” zaczęłam istotnie od szpitala. Nie stwierdziłam żadnej „lipy” w radiowych wiadomościach sprzed roku. Szpital mógłby się powodzeniem stanąć w Warszawie i niewątpliwie byłby jednym z piękniejszych i najlepszych. Szpital w Wysockim ma osiągnięcia, których nie waham się osiągać imponującymi. Wspaniałe urządzenia, precyzyjnie kontrolowana higiena. Jasno tu, czysto i wesoło. Wchodząc czuje się wyraźnie, że jest to instytucja służąca przywracaniu zdrowia, walce ze śmiercią — a przecież podobne nastroje nie udzielają się w każdym szpitalu. Oddziały są cztery: chirurgiczny (największy, na 84 łóżka), internistyczny, położniczo-ginekologiczny i dziecięcy. Pokoje są liczne, co pozwala uniknąć wielkich sal z wielką ilością łóżek. Personel ofiarny, energiczny, uprzejmy. Oto oddany, ruchliwy dyrektor, doktor Czerniawski, chirurg (w dniu mojej z nim rozmowy wykonał siedem operacji); oto ordynator na oddziale chirurgii, świetny i niezwykle

troskliwy o pacjentów doktor Mazurkiewicz („co dziesięć minut, z zegarkiem w rękę, wybiegał z odprawy do świeżo operowanego pacjenta” — opowiada o nim z uznaniem sekretarz propagandy Komitetu Powiatowego); oto intendent, który sam niedawno przeszedł ciężką operację resekcji żołądka, a dziś już nieustraszenie zabiega o dobro chorych i personelu; oto młodziutka pielęgniarka-położna, rodem z pobliskiej wsi, pełna kultury i uśmiechu.

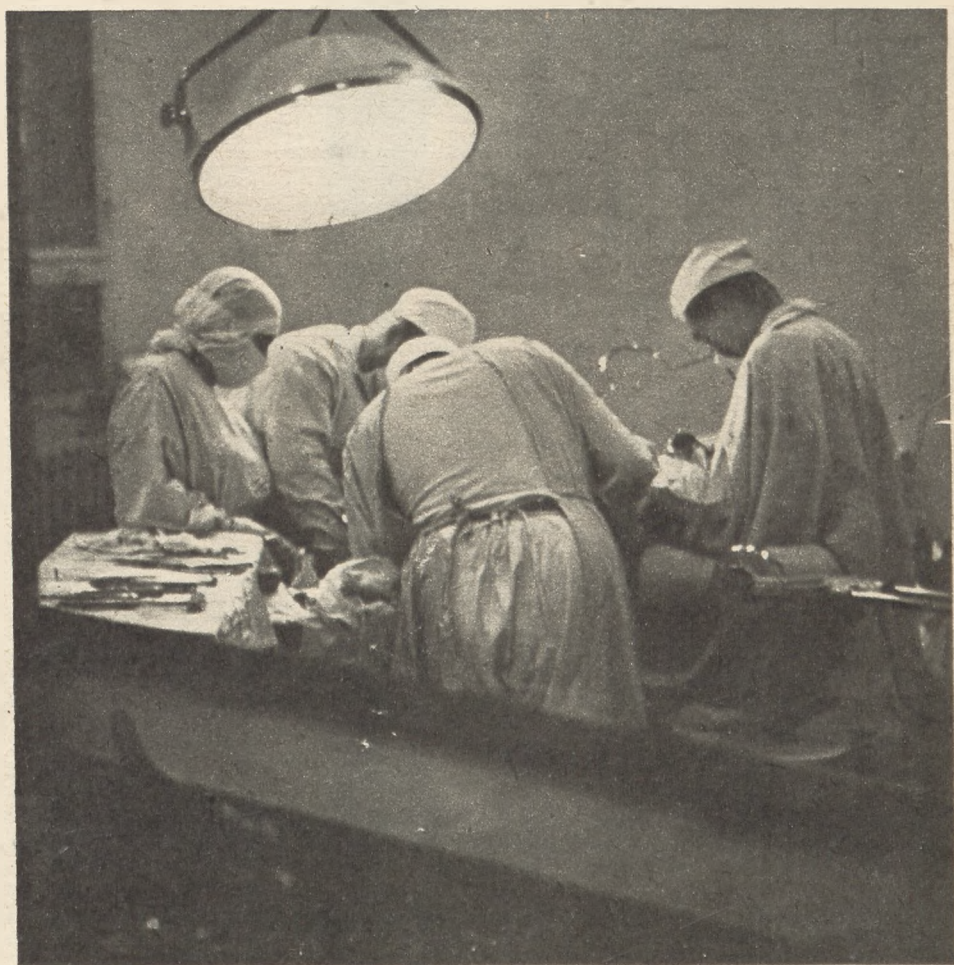
Czy nie ma bolączek, spraw nie załatwionych, palących? Oczywiście są. Najpoważniejszą z nich to brak pediatry, co powoduje, że łóżeczka na oddziale dziecięcym — jest ich 35 — stoją puste. Dalszą bolączką szpitala jest kiepski transport. Potrzebny byłby samochód osobowy, potrzebne byłby nowe karetki, gdyż dwie używane są już przestarzałe, psują się często, a obsługują poza powiatem wysoko-mazowieckim jeszcze i inne powiaty. Przydałaby się i ciężarówka, gdyż na miejscu brak warzyw — tego ważnego dla chorych elementu odżywczego — a ciężarówką można by je sprowadzać z okolic bardziej w jarzyny zasobnych. Pilną, nader pilną sprawą jest też budowa mieszkań dla personelu, który niejednokrotnie dojeżdża do pracy z dalekiej wsi. Nowa Powiatowa Rada będzie się więc miała o co bić dla szpitala. Pragnęłabym serdecznie tą moją wzmianką o szpitalnych potrzebach w Wysokim choć w najdrobniejszej mierze w bitwie tej pomóc.

W powiecie i dalszej nawet okolicy szpital ma już mir i „wzięcie”. Znachorzy i babki poszli w odstawkę. Kobiety wiejskie rodzą w szpitalu — stało się to rzeczą powszechną i normalną, a nie było tak wcale przed dwoma jeszcze laty. Pracownicy szpitala często wyjeżdżają do gromad, biorą je niejako pod swą sanitarną i kulturalną opiekę. Właśnie informował mnie dyrektor Czerniawski, że w najbliższym tygodniu wybiera się do Jabłonki, dokąd towarzyszyć mu będzie amatorski zespół artystyczny, złożony z pielęgniarek. Trzeba trochę ludziom pośpiewać.

I oto w tym miejscu mógłby się skończyć mój reportaż. Jest przecież „przeciwstawność nowego i starego”, jest „konfrontacja”, jest ośrodek postępu w małym miasteczku, jest — problem.

Nie zakończy jednak w tym miejscu reportażu — albowiem byłby on nieprawdziwy.

Gdyż do zakończenia z jednostronnym akcentem na nowe, na światło wśród ciemności, na perspektywę przeciw zastojowi — sytuacja w Wysockim Mazowieckim jeszcze nie uprawnia. Jeszcze to nowe nie rozbija starego, nie wnosi w atmosferę miasteczka ożywczego fermentu, nie ciągnie za włosy rzeczywistości, by ją podnieść w górę, szybciej popędzić w przód. Jeszcze szpital w Wysockim jest jakąś oazą kultury wśród spuścizny wsteczności. Jeszcze wokół owego ośrodka postępu rozpościera się przecież miasto lepianek, rud, nor, miasto bez kanalizacji ani wodociągów, miasto, gdzie po zniszczeniach i pożogach do dziś jeszcze nie wybrukowano chodników, zaczętych — według relacji Słownika Geograficznego — „dopiero” w roku 1874. Jeszcze straszy w tym mieście pustką kulturalną, brakiem najprymitywniejszej chociaż świetlicy, zimnem jedyne kina, mieszczącego się w niemożliwym do opalenia lokalu i wyświetlającego dwa razy w tygodniu beznadziejnie złe filmy, powielone na beznadziejnie złych kopiach. Jeszcze młodzieży miejscowej nie stworzono żadnej rozrywki poza zabawami, które — według relacji młodej dziewczyny, kandydatki na radną MRN — przyjemne są tylko wtedy, gdy się chłopaki nie popijają i nie pobijają. Jeszcze Wysockie nie dorobiło się nawet namiastki domu noclegowego, a mieszkańcy goszczący przybyszów przedstawiają



Doktor Mazurkiewicz, ordynator oddziału chirurgicznego, doskonały specjalista, dokonuje właśnie trudnej operacji. Towarzyszą mu asystenci i pielęgniarka

im rachunek opatrzonej taką oto adnotacją.

„Stwierdza się, iż w/w cena na rachunku podlega cenom miejscowym, nie jest wygórowana, gdyż na terenie miasta Wys. Mazowieckie hotelu noclegowego nie ma”. Pod adnotacją — pieczęć Miejskiej Rady Narodowej.

Toteż przyszła Miejska Rada będzie się miała o co bić dla Wysockiego.

Miasteczko to ma dziwną strukturę. Jedynym zakładem przemysłowym jest mała przetwórcza owocowa (którą zresztą też podobno chciano zlikwidować, ale towarzysze z Komitetu Powiatowego i towarzysze Strzałkowski uparli się i nie pozwolili). Poza tym urzędy, instytucje — i rolnicy. Jest rzeczą jasną, że szpital, nawet tak wzorowy jak tutejszy, nie może odegrać roli tak wobec otoczenia rewolucjonizującego — co, na przykład, zakład przemysłowy. Lecz z drugiej strony po rozmowie z towarzyszami z Komitetu Powiatowego, z Powiatowej i Miejskiej Rady — miałam wyraźne wrażenie, że zrodzone zresztą jeszcze podczas przeszłorocznej podróży, że główny zasób sił politycznych, ostrze całej roboty skierowano na wieś — zostawiając miasteczko na bocznym torze, ba! na bocznej ścieżce. Stolica powiatu służy właściwie jedynie za bazę wypadów do okolicznych gromad, a to bazę niewygodną, wciąż jeszcze funkcjonującą w warunkach „prowizorki”. Oto swoisty paradoks: w dynamice rozwoju tego powiatu miasto... nie nadąża za wsią.

Jak powiedziałam, ludzie z uporem wyczekują zmian:

— Kiedy już tę wodociąg?

— Żeby już tę kanalizację zaczęli!

— Przyszła dokumentacja na Dom Kultury. Nareszcie!

— Czy dopiero nasze prawniki doczekają się doprowadzenia kolei z Szepietowa?

— Jeden, czy nawet trzy zorowskie bloki — to mało! Prędzej trzeba budować, bo ludzie potrzebują mieszkań!

— A nowa szkoła, kiedy będzie gotowa?

Podobne pytania, życzenia, westchnienia, wykrzykniki słyszałam na każdym kroku.

Więc jakże? — spyta. Więc tylko szpital-reflektor wśród gęstej mgły? Więc samotny drogowy szlak na przyszłość wśród ponurych obszarów przeszłości? Więc tylko placówki zwiadowcze, wybiegłe daleko w przód — i pozbawione zaplecza?

Nieprawda. Jest zaplecze dla nowego w Wysockim Mazowieckim: są ludzkie aspiracje. Przyszły tu wraz z Planem i z ogólną perspektywą Polski Ludowej. Ludzie nie są zadowoleni z tego, co jest. Chcą, żeby było inaczej — i prędzej. I najpilniejszym zadaniem przyszłej Rady Narodowej będzie naciągnięcie ludzi współpracy z Planem. Żeby nie tylko chcieli — lecz także pomagali.

Po napisaniu tej relacji z Wysockiego przeczytałam raz jeszcze reportaż Mariana Brandysa o Pińskowie i Pacanowie, oba publikowane w „Świecie”. Niech mi wybaczy Marian Brandys, patriota pińczowski, autor najpiękniejszego chyba reportażu o dzisiejszej polskiej prowincji, że porównuję miasteczko, w którym zaledwie świt przeczuć można — z miastem, w którym już dnieje. Ale uderzyło mnie pewne podobieństwo problemów, właściwe zapewne wielu jeszcze polskim Pińskowom: Pacanowem czy Wysockim Mazowieckim: te same miasta nie miały, te same reflektory wśród gęstej jeszcze mgły, to samo ludzkie wypatrywanie przyszłości. I temu właśnie gorączkowemu patrzeniu w przyszłość chciałabym oddać cześć. Owi bowiem niecierpliwi ludzie z polskiej prowincji żrą, zrywają się, żalą, gderają, niekiedy z impetem popioszczą — lecz wierzą zarazem, że wcześniej czy później coś z tej ich niecierpliwości wyniknie. Że w naszych czasach niecierpliwość — popłaca.

Jest to dobra niecierpliwość. Jest to twórcza niecierpliwość. Takiej niecierpliwości dużo nam trzeba dla szybszego zbudowania socjalizmu.

Napisała: KAMILA CHYLIŃSKA

Zdjęcia: K. JAROCHOWSKI

KORRESPONDENCJE W ŁASNE „ŚWIATA” Z FRANCJI

Zdjęcia:
MULLER
UFP

PRZED DEBATĄ



Jedna z wielu manifestacji. W Alfortville, do mera — członka SFIO — przybyły liczne delegacje, ażeby zaprotestować przeciw układom paryskim i londyńskim.

LICZNE prasowe echa podróży Mendes-France'a do Ameryki nie odsunęły na dalszy plan wiadomości o coraz bardziej rozszerzającym się proteście społeczeństwa francuskiego przeciw odbudowie Wehrmachtu. Nigdy jeszcze od otrzymania inwestytury sytuacja gabinetu nie była tak trudna. Wśród urzędników, żądających podwyżki płac, panuje wrzenie. Manifestujący urzędnicy ministerstw zablokowali niedawno Plac Opery i zahamowali ruch uliczny w śródmieściu Paryża. Jednocześnie alarmujące wiadomości nadchodzą z Afryki północnej. W Tunisie, Maroku i Algerze ruch narodowo-wyzwoleńczy dławiony jest przez policję i oddziały wojsk przysłanych z Francji. Sytuacja na tych terenach jest niezwykle poważna.

Rząd Mendes-France'a, który zdobył niegdyś popularność dzięki zawarciu pokoju w Indochinach i odrzuceniu EWO, prowadzi obecnie politykę, przeciw której wypowiadają się i występują najszerze koła społeczeństwa. Sytuacja bowiem materialna mas pracujących nie poprawiła się, zarobki robotnicze pozostały nadal bardzo niskie, warunki mieszkaniowe — nie zmienione, szkoły i szpitale — przeciążone jak w latach poprzednich. Jedyne kroki, jakie podjął gabinet w dziedzinie gospodarczej, mają na celu dalsze uprzywilejowanie towarzystw kapitalistycznych, a nieznaczne podwyżki ubezpieczeń dla bezrobotnych dalekie są od zadośćuczynienia ogólnym żądaniom klasy robotniczej i chłopów. Rząd Mendes-France'a odwraca się od polityki pokoju, popierając uzbrojenie zachodnio-niemieckich odwetowców. Dla francuskiej opinii publicznej nie ulega zaś wątpliwości, że ratyfikacja układów londyńskich i paryskich oznaczałaby nie tylko zwiększone niebezpieczeństwo wojny, ale i poważne pogorszenie materialnej sytuacji ludności pracującej.

W Zgromadzeniu Narodowym deputowani stronnictwa katolickiego MRP głosować będą zapewne przeciw ratyfikacji. Wynika to z decyzji, jakie podjął ostat-

nio Komitet Naczelny tego stronnictwa. Liczni deputowani — byli gaulliści, m. in. Palewski i Soustelle, zdecydowanie przeciwni są ratyfikacji przed nową konferencją międzynarodową ze Związkiem Radzieckim. Również Edward Herriot i inni wybitni działacze stronnictwa radykałów żądają rozmów ze Związkiem Radzieckim i międzynarodowej konferencji. Deputowani z różnych partii i ugrupowań zapewniają wreszcie niezliczone delegacje obrońców pokoju, że głosować będą przeciw układom z Londynu i Paryża. Mówi się także o tym, że generał de Gaulle zamierza wystąpić z żądaniem wszczęcia rozmów na temat bezpieczeństwa Europy i że wystosować ma czwartego grudnia apel poświęcony tej sprawie. W parlamencie wszystko zależy więc od stanowiska, jakie zajmą w głosowaniu deputowani socjalistyczni. Ich ostatni kongres wypowiedział się za ratyfikacją układów. Było to co prawda przed ogłoszeniem radzieckich propozycji w sprawie konferencji w dniu 29 listopada.

Debatą parlamentarną nad układami remilitaryzacyjnymi przewidziana jest na 14 grudnia. Wszystko wskazuje, że do tego czasu akcja przeciw uzbrojeniu odwetowców jeszcze bardziej przybierze na sile. Już dzisiaj akcja ta zatoczyła o wiele szersze kręgi, niż analogiczna akcja protestacyjna przeciw EWO. Propaganda rządowa, zdając sobie sprawę z ogólnych nastrojów, inspirowała pogląd, że ratyfikacja układów przez Zgromadzenie nie będzie miała decydującego znaczenia, albowiem układy te i tak muszą być ratyfikowane również przez Radę Republiki, która debatować będzie nad nimi dopiero w lutym. Lansowanie tej tezy jest zaś po prostu chwytem, mającym wmówić słusznie zaniepokojonej opinii społecznej, że rozmowy z ZSRR można by rozpocząć... już po ratyfikacji układów wojennych przez Zgromadzenie Narodowe. Tę politykę podwójnej gry — rezultat amerykańskiej presji — odrzuca jednak stanowczo naród francuski. Żąda on, aby jego rada ministrów zajęła zdecydowane stanowisko przeciwko uzbrojeniu odwetowego Wehrmachtu — albo... odeszła.

FRANCIS CREMIEUX

SZEŚĆ GODZIN

Jak co roku, francuski Komitet Narodowy Pisarzy (CNE) zorganizował kiermasz książki w Wielodromie Zimowym. Wielka ta impreza zgromadziła tysiące paryżan, którzy 30 października tłumnie zjawili się po książki i autografy ulubionych autorów. Dodajmy, że, według ustalonej już tradycji kiermaszu, pisarzom towarzyszyli przy stoiskach najwybitniejsi aktorzy teatru i filmu. 30 października pobite zostały wszystkie dotychczasowe rekordy imprezy CNE zarówno w dziedzinie frekwencji publiczności jak i w dziedzinie wpływów kasowych. W ciągu 6 godzin sprzedano książek za 9 milionów franków, o milion więcej niż w roku ub. Największy sukces odniósł dedykujący swą książkę Pablo Picasso.

Na lewo: Gerard Philipe i Emanuel d'Astier de la Vigerie



CZOŁGI W ALGERZE

Paryż, w listopadzie

ZWIEDZAJCIE ALGER!“ — głoszą napisy na plakatach rozklejonych w biurach podróży i na dworcach paryskich. Są to piękne plakaty, z wyobrażonym na nich błękitnym niebem, urzekające krajobrazem smukłych palm w wielkim słońcu, białym domkiem tubylców, fragmentami egzotycznej architektury, sylwetkami Arabów wreszcie, którzy przechadzają się w cieniu, w nieskazitelnie białych burnusach. Plakaty zachęcają do podróży: „Zwiedzajcie Alger!“

Czyni się równocześnie wszystko, aby podtrzymać we Francji złudzenie o cywilizacyjnej misji metropolii, o tym, że cała Afryka północna korzysta rzekomo z bezinteresownej dobroci rządu w Paryżu i że nawet ludność tubylcza — doceniając świadczone sobie usługi — nie ustaje w wyrażaniu bezgranicznej swojej wdzięczności.

Ta pochwała kolonializmu daleka jest jednak od rzeczywistych wiadomości napływających — od roku z górą — z Maroka, Tunisu i Algeru, wiadomości o częstych zamachach i burzliwej fali protestów. Próbowano wprawdzie przedstawić walkę ludów afrykańskich przeciw kolonialnej eksploatacji i zagranicznemu panowaniu jako sprawę „nielicznych terrorystów“, oderwanych od ogółu ludności, nieodmiennie rzekomo „wdzięcznej i lojalnej“. Francuska opinia publiczna pamięta jednak doskonale, że Goebbels i Quislingowie używali identycznego słownictwa w odniesieniu do członków Ruchu Oporu, którzy wyrażali przecież uczucia i dążenia ogółu społeczeństwa francuskiego i byli przedmiotem podziwu całego ludu.

Propaganda kolonialistów rozpowszechnia tyle fałszywych relacji, że nawet wielu uczciwych ludzi we Francji zaskoczonych jest wypadkami w Algerze: „Jak to? Nie mówimy o Maroku i Tunisie. Ale Alger? Alger rządzi się przecież takim samym prawem jak Francja europejska, Alger ma swoje trzy departamenty, które zorganizowane są jak wszystkie inne departamenty Francji, mieszkańcy Algeru mają wreszcie obywatelstwo francuskie i wszystkie wynikające zeń przywileje. A więc?“

JAK W CZASACH JASKINIOWYCH

Pytania te wynikają jednak z fałszywego obrazu, jaki przedstawiano opinii publicznej, pragnąc zamaskować stan faktyczny i rzeczywiste położenie ludności. Sytuacja prawna Algeru jest w istocie zupełnie odmienna od statutów metropolii. Prawa francuskie z reguły nie są tam stosowane. Eksploatacja kolonialna pozostaje z reguły bezkarna, wybory preparowane są we wsiach arabskich przez wszechwładną policję i usługowych kaidów. Algerczycy — obywatele francuscy, którzy przybywają do Francji w poszukiwaniu pracy, znajdują się w rzeczywistości poza prawem. Nawet organ kolonialistów — „Climats“ — przyznawał w numerze z 10 listopada, w dużym artykule na pierwszej stronie, że „w sercu Paryża robotnicy z Afryki północnej żyją jak w czasach jaskiniowych“.

Ażebry usprawiedliwić ostatnie wydarzenia, propaganda kolonialistów próbuje obarczyć odpowiedzialnością za nie — „ośrodki zagraniczne“. Zalicza się przy tym do tych ośrodków: „Głos Arabów“, „Ligę Arabską“ oraz Kair. W rzeczywistości jednak oskarżenie zagranicy wysunięte zostało tylko po to, ażeby raz jeszcze ukryć prawdziwe przyczyny gwałtownego protestu Afryki północnej. Przyczyny te nie są przecież trudne do sformułowania: kolonialne panowanie nad północną Afryką jest źródłem niesłychanego wyzysku ludności doprowadzonej do skrajnej nędzy.

DLUGIE DZIEJE NIE SPEŁNIONYCH OBIETNIC

Ludy Maroka, Tunisu i Algeru wyraziły swe pragnienia. W odpowiedzi udzielono im szereg obietnic, których następnie nigdy nie spełniono. Z roku na rok i z miesiąca na miesiąc zwodzono je frazesami o demokratycznych reformach, jakie miały być rzekomo wprowadzone w najbliższej przyszłości. Zaledwie cztery miesiące temu, 31 lipca, Mendes-France oświadczył beyowi Tunisu, że „wewnętrzna autonomia państwa Tunisu uznana jest i proklamowana bez zastrzeżeń przez rząd francuski, który pragnie potwierdzić jej zasadę i jednocześnie pozwolić jej na uwieńczone powodzeniem działanie... Dlatego też jesteśmy gotowi —



Alger 1954. Spalona wieś Bouffarik.

kontynuował Mendes-France — przekazać... instytucjom Tunisu wewnętrzne sprawowanie suwerennej władzy...“

Obiecujące te słowa nie stały się jednak rzeczywistością, a rozmowy, które toczą się w Paryżu od czasu powrotu premiera z Tunisu, nie posuwają sprawy naprzód, gdyż koła kolonialistów nie zdają się wyrażać zgody na najmniejszą nawet zmianę w zyskach i przywilejach eksploatorów.

WOJENNA EKSPEDYCJA

Na powagę sytuacji w Algerze wskazuje jednocześnie grupowanie tam coraz większych sił militarnych. Prowadzą one nie przebierającą w środkach zbrojną akcję represyjną wobec cywilnej ludności. Ostatnio wyładowały w Algerze: trzy bataliony wojsk spadochronowych, pięć szwadronów „garde mobile“, dziewięć kompanii żandarmerii (CRS) i dziesięć batalionów piechoty. W Batnie stacjonują ponadto dwa dywizjony zmotoryzowanych strzelców afrykańskich, kompania spadochroniarzy i pancerny dywizjon spahisów.

Dzienniki przynoszą jednocześnie z Afryki północnej depesze utrzymane w stylu komunikatów wojennych:

„Oddziały przegrupowały się...“

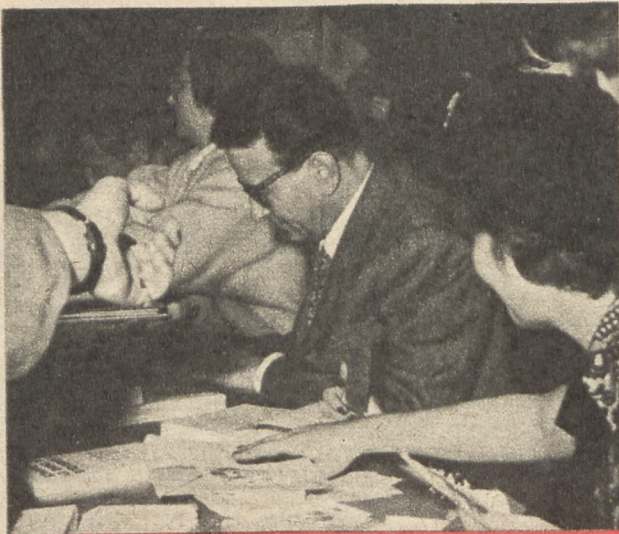
„Droga wiodąca do miasta została oczyszczona...“

„Czołgi otworzyły ogień, a myśliwce ostrzelały teren z broni maszynowej...“

Nienawiść kolonialistów manifestuje się każdego dnia. We Francji narasta jednak coraz bardziej oburzenie społeczeństwa. Dzienniki pravicowe nawołują wprawdzie do „niezlomnej stanowczości“ (generał Cochet w „Information“ z 5 listopada), ale stanowisko rządu jest przedmiotem krytyki coraz powszechniejszej.

WILLIAM GROSSIN

KSIĄŻKI



U góry: Vercors
Na prawo: Picasso
Na dole: Aragon





W Komsomolsku, osiedlu budowniczych elektrowni Kujbyszewskiej, uruchomiono ostatnio drugą szkołę średnią.

To panoramiczne zdjęcie przedstawia tylko część gigantycznej budowy, znajdującej się na prawym brzegu Wołgi. Tu, o 40 metrów niżej poziomowi rzeki, stanie kompleks



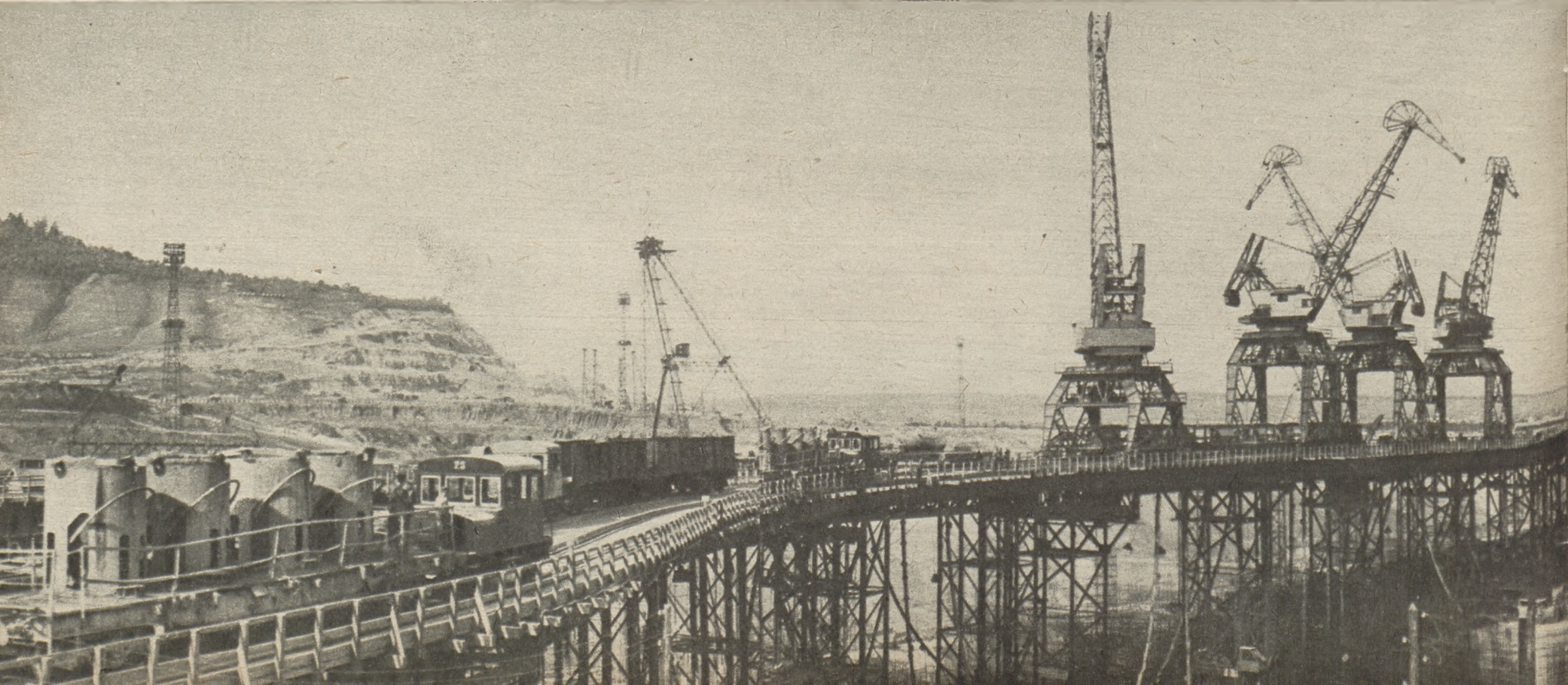
Ci inżynierowie ukończyli studia podczas budowy.

FOTOREPORTAŻ DLA „ŚWIATA” Z BUDOWY KUJBYSZEWSKIEJ ELEKTROWNI WODNEJ NAD WOŁGĄ

Zdjęcia: A. MOKLECOW

W OŁGĄ płynie już kra; za parę tygodni lodowa skorupa skuje wielką rzekę. Umilkną syreny parowców i holowników, znikną smukłe jachty i ociężałe barki. Ale wielka budowa u stóp Gór Żygulewskich nie zapadnie w sen zimowy. Dla twórców największej na świecie elektrowni wodnej będą to bowiem decydujące miesiące, będzie to ostatnia zima budowy. Harmonogramy przewidują: w marcu — rozpoczęcie montażu turbin i generatorów; w czerwcu — uruchomienie śluz i całkowite przegrodzenie rzeki. Wtedy to rozpocznie się napełnianie największego na świecie sztucznego zbiornika wody — Morza Kujbyszewskiego. Gdy poziom wody podniesie się o kilkadziesiąt metrów, z elektrowni o mocy 2 milionów kilowatów popłynie prąd. W roku 1955 — zgodnie z planem. Zima więc pod Kujbyszewem będzie „gorąca”, choć termometry nieraz wskazują tu 40 stopni niżej zera. Na niektórych decydujących odcinkach budowy podwoi się tempo prac. Z każdym tygodniem wzrasta ilość sprzętu i urządzeń, nadchodzących z Leningradu, Uralsu, Moskwy i Ukrainy. Z każdym dniem wyraźniejszy staje się przyszły obraz zapory i elektrowni, kanałów i śluz.

Wieczorem 12 marca roku 1928 grupa inżynierów badała stan wykończonej zaledwie przed rokiem zapory





Zygulewsk — jedno z osiedli budowniczych elektrowni. Posiada już szkoły i przedszkola, kluby i biblioteki, stadion, teatr letni, kino, kilka obiektów sportowych.

PRZED OSTATNIA ZIMĄ

St. Francis w Kalifornii. Wszystko było w porządku, nie stwierdzono żadnych niepokojących zmian. W pół godziny później 62-metrowa zaporą zawaliła się ze strasliwym hukiem. 46 milionów ton wody runęło w dolinę, zatapiając domy i ludzi, urządzenia i składy. Przyczyna — niewielka żyła gipsu w tufach wulkanicznych i łupkach. Nie dość dokładne zbadanie podłoża kosztowało setki istnień ludzkich i miliony dolarów.

Szczegółowe opisy tej i wielu podobnych katastrof przestudiowali geologowie, których zadaniem było wytypowanie miejsca pod urządzenie Kujbyszewskiej Elektrowni Wodnej. Brak jednolitego podłoża skalnego w rejonie planowanej budowy nakazywał szczególną dokładność badań.

I dlatego prace badawcze, które prowadzono na Wołdze przed czterema laty, nie mają sobie równych w świecie pod względem wszechstronności. Trzystu geologów metr za metrem studiowało miejsce przyszłej budowy. Dno rzeki zbadano w 22 tysiącach miejsc. Topograficzne zdjęcia lotnicze przeprowadzono na obszarze większym niż terytorium Szwajcarii. Łączna długość wierceń badawczych wyniosła 177.000 metrów. W rezultacie można było wybrać takie miejsce, które wytrzyma miliony ton ciężaru urządzeń i potężny napór przyszłego morza.

Słynny autor powieści fantastycznych, Herbert G. Wells, bawił w Związku Radzieckim w okresie realizowania planu elektryfikacji. — GOELRO. Pisarz

angielski tak pisał po swojej podróży: „Lenin co prawda odrzuca, jako prawowitny marksista, wszelkie utopie, ale ostatecznie sam zajął się elektryczną utopią... Wyobrazić sobie zastosowanie elektryfikacji w Rosji można tylko przy pomocy niezwykle bogatej fantazji. Ja osobiście niczego podobnego wyobrazić sobie nie potrafię“.

Uruchomienie Dnieprogesu nastąpiło jeszcze za życia H. G. Wellsa. Szkoda, że znakomity fantast nie może widzieć zakończenia budowy elektrowni Kujbyszewskiej.

Ponad Wołgą rozpięto pięciokilometrową kolej linową, wspartą na 138 stalowych filarach. Na wysokości 20 pięter nad rzeką suną w kilku szeregach wagoniki, wiozące po 4 tony materiałów budowlanych. 20.000 metrów kwadratowych sieci pancernej chroni przejeżdżające dołem statki przed możliwą awarią.

W budowanej obecnie elektrowni stanie dwadzieścia generatorów o niespotykanej dotąd na świecie mocy — 123.500 kilowatów każdy! Generatory te wykonały dla Kujbyszewa leningradzkie zakłady „Elektrosila“. Każdy taki generator spocznie na podstawie o powierzchni 300 metrów kwadratowych i będzie miał wysokość ośmiopiętrowego gmachu.

Kujbyszewska Elektrownia Wodna da rocznie około 10 miliardów kilowatogodzin energii. Energia ta będzie po raz pierwszy na świecie przekazywana prądem zmiennym pod napięciem 400.000 wolt.

Całokształt robót betonowych przy zaporze, elek-

towni, kanałach, śluzach, uszczelnianiu dna Wołgi — wyraża się liczbą około 15 milionów ton betonu; więcej, niż zużyto przy budowie kanału Sueskiego i Panamskiego łącznie.

Długo można by przytaczać dane — o rozmiarach prac ziemnych, gigantycznych maszynach, nowych liniach kolejowych i nowych osiedlach. Ale jest jeszcze jedna cecha budowy, trudna do ujęcia w ścisłe liczby, a przecież niesłychanie ważna.

Na Kujbyszewską elektrownię przybyły — obok wytrawnych specjalistów — setki młodych entuzjastów: absolwentów szkół zawodowych i instytutów budownictwa, młodzieńców po szkole siedmioklasowej, ludzi zupełnie nie obznajmionych z wielką budową. W ciągu czterech lat ta różnorodna, niezdyscyplinowana nieraz rzesza przeobraziła się w oddział znakomitych fachowców. Dziewczeta, które wtedy ze zdumieniem spoglądały na spychacze, dziś dyrygują całymi brygadami ekskawatorów i odnajdują swoje zdjęcia w gazetach. Przybysze z pasterskich kołchozów rządzą zautomatyzowanymi betoniarniami. Chłopcy, którzy nosili tyczki za geologami, montują skomplikowane urządzenia. Młodzi ludzie, którzy przyszli wprost ze szkół, kończą już zaoczne studia politechniczne.

I to osiągnięcie jest chyba nie mniej trwale od żelbetonowych fundamentów największej na świecie elektrowni wodnej.

E. K.

gmachów Kujbyszewskiej elektrowni wodnej. Trwa właśnie betonowanie i montaż. Zwróćcie uwagę na proporcję ilości potężnych maszyn i ludzi na tej budowie!



MICKIEWICZ



ADAM MICKIEWICZ

wg rysunku Eugene Delacroix (1798—1863)

ILEKROĆ przyjdzie się zastanowić nad drogą poetycką Adama Mickiewicza, zawsze budzi ona nowe zdumienie. Trwała ta droga krótko, jeżeli liczyć od wydania pierwszego tomu poezji, nie więcej niż dwanaście lat; urwała się na szczycie potęgi twórczej; poezja Mickiewicza nie zna schyłku. Obejmuje wszystkie rodzaje, jakby jakieś przeznaczenie kazało temu wielkiemu odnowicielowi przeorać do głębi wszystkie niwy mowy ojczystej. Po pierwszych klasycyzujących próbach sięga nagle młody Mickiewicz do źródła natchnień ludowych w *Balladach i romansach*; w wileńskich *Dziadach* z misterium gminnych gusiel wysnuwa poemat miłości i bólu: w *Farysie* odkrywa strefy jakiejś narkotycznej „czystej poezji”. I znów, pod wpływem tragicznego wstrząsu, powraca do *Dziadów*; natchniona „Improwizacja” Konrada oprawia w sceny poetyckiego realizmu, barwiąc się raz po raz sarkazmem pamfletu. I tuż po tym wybuchu bluźnierczej potęgi, jakim jest „Improwizacja”, naraz, jakby czarami, uspokaja się to zwichrzone morze, aby się rozkwieciło w spokojną falę w *Panu Tadeuszu*.

I jakie wciąż bogactwo form, rytmów, nastrojów: od prostoty gadek ludowych — do nieskazitelnego zwartości sonetu lub kunsztownego heksametru; i wreszcie do tej symfonii barw i tonów, jaką jest *Pan Tadeusz*, ten cud plastycznej pamięci zrodzonej z tęsknoty.

I w tej poezji Mickiewicza, mimo całej doskonałości artystycznego rzemiosła i świadomej uprawy formy, jest taka bezpośredniość, taka konieczność, że w pewnej chwili, gdy twórca uczuje inne nakazy, inne konieczności, odejdzie nagle od poezji, czy raczej poezja odejdzie od niego, zostawiając udęconego człowieka-tulacza, szukającego w życiu rozwiązań i realizacji, które wprzód dawała mu sztuka.

A wśród tego, w latach twórczego odpływu, poezja nawiedzi jeszcze Mickiewicza na chwilę: w czasie pobytu jego w Lozannie w Szwajcarii; tu, jakby oderwany na moment od wszystkiego, co było treścią i męką jego życia, w obliczu przyrody, poeta zatrzyma się i jakby przystanie w swojej wędrówce, aby się zdziwić własnej doli. Jeden z tych małych poematów ma tylko pięć wierszy: *Polaty się tży me... drugi — to znów klejnot „czystej poezji”, zaczynający się od słów: Nad wodą wielką i czystą...*

To ta poezja, która pulsowała w jego krwi, która wzdymała jego serce miłością, dumą, buntem, szaleństwem, która barwiła tęczo jego wizję przyszłości, ta poezja nawiedza tu Mickiewicza po raz ostatni w postaci jakiejś bezcielesnej zadumy. I już nie wróci; człowiek pójdzie dalej sam.

Kończąc *Pana Tadeusza*, ostatni swój utwór poetycki, Mickiewicz miał 35 lat; droga jego życia miała trwać jeszcze 21 lat. Zrozumiałe jest, że nas to życie, które można by nazwać twórczością niepisaną Mickiewicza, obchodzi na równi niemal z jego twórczością pisaną, którą poniekąd przedłuża i uzupełnia.

Ale podczas gdy tam, gdzie idzie o poezję, zawsze się można odwołać do samego twórcy, o tyle życie jego, działanie, bywają zdane na jakieś narzucone im interpretacje. Stąd tyle rozbieżności w pojmowaniu osoby Mickiewicza.

Od chwili gdy Mickiewicz opuścił w roku 1824 więzienie wileńskie, losem jego miało być tułactwo. „Pielgrzym” — to słowo powraca — niby przecucie — w jego poezji od wczesnych lat! Druga część jego życia związana jest z imperium rosyjskim.

Te dwa okresy jakże są odmienne! Oto właśnie Akademia Nauk otwiera we Lwowie w dawnym Ossolineum bogatą wystawę Mickiewiczowską. Widzimy tam wiele portretów tej pięknej głowy; portrety te mają wymowę. Uderza nas kontrast dwóch

26 listopada mija 99 rocznica śmierci Adama Mickiewicza. Za pięć tygodni rozpoczyna się proklamowany przez Światową Radę Pokoju rok Mickiewiczowski, którego uroczystości centralne odbędą się w setną rocznicę śmierci poety, 26.XI.1955.

Drukowany tu tekst Tadeusza Boya-Żeleńskiego podajemy za Nr 1 „Nowych Widnokręgów”. Jest to referat wygłoszony przez znakomitego krytyka i tłumacza na uroczystościach Mickiewiczowskich we Lwowie, w roku 1940. Tekst ten przypominamy również i dlatego, że w roku bieżącym przypada okrągła osiemdziesiąta rocznica urodzin Boya, którego owocną i pełną zasług działalność przecięła śmierć w katowniach gestapo, w lipcu 1941 r. Artykuł ten jest więc jednym z ostatnich wystąpień Boya w sprawach poezji Mickiewicza, sprawach, którym poświęcił wiele pasjonujących szkiców i felietonów.

Przypominamy jeszcze, że prace Boya na tematy Mickiewiczowskie wznowione zostały w obszernym wyborze („O Mickiewiczu”, Czytelnik, 1949). „Studia Boya — czytamy m. in. we wstępie do tej książki — to nowatorskie postawienie wielu zagadnień, próba nowoczesnej, jeszcze nie marksistowskiej, ale już racjonalistycznej interpretacji zarówno życia, jak i dzieła poety”.

N a p i s a ł
T A D E U S Z
Ż E L E Ń S K I
Boya

epok. Jedną uzmąskawia wspaniały młodzieniec z dąbniem wielkich romantyków, odziany w fałszywą płaszczkę wędrowca. Taki jest Mickiewicz jeszcze w Rzymie w roku 1830. Kiedy w parę lat później odnajdziemy go w Paryżu, jakże będzie odmieniony! Strój, postawa, niemal głos. Dumny śpiewak *Farysa*, a twórca *Ksiąg pielgrzymstwa*, przemawiający głosem kaznodziei, czy to ten sam człowiek? Wyraz twarzy nad wiek poważny, surowy, smutny, jakby go gniołło ciężkie jakieś brzemie; rysy przeorane wewnętrznym bólem. A strój! To przemiana niemal podobna do tej, która przeobraziła bujnego Jacka Soplicę w księdza Robaka, resztę życia jego skazując na ekspiację.

Bo też w istocie w ciągu tych dwóch lat rozegrał się dramat. Dramat narodu i dramat człowieka, poety. Tragedia, wobec której jakże dziecinnej owe romansowe przejścia Mickiewicza upoetyzowane w *Dziadach*. I nawet ów proces wileński, więzienie, w którym Mickiewicz — jak sam pisze — „odczyszczał wesołość”.

I to jest zrozumiałe. Tuż przed momentem, kiedy wytoczono proces młodym Filomatom wileńskim, Mickiewicz znalazł się duchowo niby w zauku bez wyjścia. Romantyczna miłość młodzieńcza dała mu wszystko, co dać mogła — w poezji. Z niej wzięły natchnienie pierwsze utwory, ją udratyzował poeta w *Dziadach*. Ale w życiu? Ani tym żyć, ani od tego uciec: Kowno było za blisko i za daleko od majątku państwa Puttkamerów, a uwielbiana Maryla była już od dwóch lat hrabiną Puttkamerową. A wreszcie rola nauczyciela w małej wówczas miejscowości nie mogła dać zadowolenia poecie, który wysokością lotu mierzył się z Goethem i z Byronem. Młody Mickiewicz dusi się tu. Brzydnie sam sobie, brzydą mu przyjaciele, dawni towarzysze. Pełno tego śladów w jego listach. Proces, więzienie wyr-

wały Mickiewicza z tego martwego punktu; prze-
czuwa, że odwraca się w jego życiu nowa karta.

I dopiero refleks klęski powstania roku 1831 rzucił
w trzeciej części *Dziadów* swoje posępne tony na to
więzienie z roku 1824. Poezja miewa takie genialne
anachronizmy.

Na razie — zesłanie do Rosji. Zandarm wozi Mic-
kiewicza z miejsca na miejsce po obszarach imperium,
jakby je chciał sprezentować przyszłemu autorowi
Drogi do Rosji. Z Wilna do Petersburga, stamtąd do
Odessy. Wycieczka na Krym wydaje jako plon wspa-
niale *Sonetów krymskich*. Moskwa i Petersburg dają
Mickiewiczowi przyjaźń Puszkina i przyjaźń naj-
szlachetniejszej rewolucyjnej młodzieży rosyjskiej.
Tu Mickiewicz zyskuje poczucie swojej siły, samo-
wiedzę geniuszu. W Wilnie koledzy cenzurowali mu
wiersze, z Warszawy dochodziły młodego romantyka
echa drwin i krytyk; tu w wysoce podówczas ar-
tystycznej atmosferze, najęźsi pisarze przyjmują go
jak brata. witają jak mistrza. O caracie myślał Mic-
kiewicz pisząc *Wallenroda*, ale o tych rosyjskich
czasach myślał pisząc jeden z najpiękniejszych wier-
szy: *Do przyjaciół Moskali*.

Jakże smutno w porównaniu z tą epoką rozpoczął
się lata paryskie Mickiewicza! Głębi go atmosfera
emigracji i osobisty dramat wewnętrzny, związany
z minionym rokiem. A sam Paryż? Ogromne miasto
zajęte swoimi sprawami i interesami, obce myślom
i uczuciom tego pielgrzyma. Rośnie w poecie poczu-
cie własnej samotności. Dla kogo pisać? Obecny nie
znaję jego języka; swoi — daleko i również często
obcy...

Przy tym natura Mickiewicza, mimo iż w pewnych
okresach narzucająca sobie pokorę, w istocie namięt-
na, władca, łaknąca bezpośredniego działania i wpły-
wu. „Daj mi rząd dusz!” — woła do Boga w „Im-
prowizacji” Konrad.

Mickiewicz zaczyna pragnąć czynu. Słowo mu nie
wystarcza. Ta gorączka działania owłada w owej epo-
ce wielu poetów; to moment ich królowania. Byron
formował nie tak dawno własne oddziały, aby walczyć
o niepodległość Grecji; gdyby nie umarł, byłby może
został królem greckim. Chateaubriand był ambasad-
rem, ministrem spraw zagranicznych; później Lamar-
tine, najświetniejszy mówca parlamentu, miał w da-
nej chwili zostać głową rządu. Ale wszyscy ci poeci
mieli jakieś dźwignie, jakieś punkty oparcia; Micke-
wicz-Konrad, tułacz bez ojczyzny, w pokoju drezden-
skiego hoteliku, gdzie powstała „Improwizacja”, upo-
mina się o „rząd dusz”. Nigdy dumniejszy, zuchwal-
szy manifest nie wyszedł z ust poety.

Ale moment nie sprzyja tej gorączce czynu. Lata
między rokiem 1834 a 1848 to najciemniejszy moment
ustabilizowanej reakcji w całej Europie; we Francji
to owe „rządy pięciofrankówki” — jak je nazwał po-
gardliwie Balzac — raj dla francuskich groszrobów,
trumna dla nadziei Polaków, w których mieszczań-
stwo francuskie widziało niewczesnych mącielił po-
rządku na najlepszym z burżuazyjnych światów.

Co robi w tych latach Mickiewicz? To, co może.
Treska się o to, jak wyżywić rodzinę. Gdy Paryż na-
około myśli, jak się wzbogacić, wielkiemu poecie za-
gląda w oczy pytanie, jak wyżyć w obcym mie-
ście — z pióra. Szuka pracy zarobkowej, próbuje pisać
po francusku.

Ale równocześnie zbliża się Mickiewicz ze wszyst-
kim, co było we Francji postępowe, demokratyczne.
Zbliża się z kołami saint-simonistów, m.in. z „so-
cjalista utopijnym” Piotrem Leroux; sam współpra-
cuje w bliskim socjalizmowi „Pielgrzymie Polskim”
jeszcze wówczas, gdy równocześnie tworzył *Pana Ta-
deusza*. Sprzeczność — tylko pozorna. Bo *Pan Ta-
deusz* — ta „historia szlachecka”, jak mówi podtytuł,
to, jak go określił Worcell, „kamień grobowy, poło-
żony ręką geniuszu na starej Polsce naszej”. A rów-
nocześnie oczy poety widzą już świat inny, nowy.

Uderzające jest, jak myśli Mickiewicza już w owej
epoce pynie podwójnym nurtem — narodowym
i międzynarodowym. Coraz bardziej umacnia się
w Mickiewiczu świadomość, że sprawa wolności na-
rodu, jego prawa do życia, to nie jakieś odosobnione
zagadnienie ani rozgrywka lokalna, ale że, przeciwnie,
dola wszystkich ludów jest ściśle solidarna, i że nie
pogodna jest ruszyć jej z miejsca, nie podważając
załego porządku społecznego starej Europy, zbudowa-
nej na przemocy i krzywdzie. I oto jak sprawa pol-
ska zawładnęła Mickiewiczem do międzynarodowego soc-
jalizmu i każe mu szukać zbliżenia z tymi, którzy
w Europie reprezentują ideę socjalnego przewrotu.
Ale — trzeba czekać chwili; a to czekanie, wlokące
się przez całe lata, straszne jest dla tych namiętnych,
płomiennych natur, do jakich należał Mickiewicz.
I tym zmęczeniu, tym przepaleniem się wewnętr-
nym, kontrastem między bezwładem otaczającego spo-
łeczeństwa a gorączkową żądzą ruszenia „z posad bry-
ły świata” i „pchnięcia jej nowymi torami” — jak głosi-
ła już *Oda do młodości* — można sobie wytłumaczyć
wpływ, jaki czasowo uzyskał na Mickiewicza prorok
mętnej mistycznej sekty — Andrzej Towiański.

Ten wpływ, pod każdym względem oplakany, przy-
padł na chwilę, w której poecie otworzyło się właśnie
nowe pole działania. Po krótkim okresie, przez który
Mickiewicz zajmował się katedrą literatury łacińskiej
w uniwersytecie lozańskim w Szwajcarii, ofiarowano
mu w Paryżu ważniejszą placówkę: katedrę literatur
słowiańskich w „College de France” w Paryżu. Pierw-
szy zwłaszcza rok tych wykładów był olśniewający;
później coraz bardziej ten kurs literatury wyraża się
w propagandę mistycyzmu Towiańskiego; wreszcie
— Mickiewicz zmuszony jest ustąpić z katedry.

Tu parę lat dziwacznych, zasmucających — lat nie-
woli u „Mistrza”. Ale wystarczyło tego drżenia ziemi,
jakie się dało odczuć z rokiem 1848 — w momencie
owej pamiętnej „wiosny ludów”, aby Mickiewicz
zrzucił z siebie jarzmo, w którym trzymała go jedyn-
nie rozpacz bezczynności i beznadziei. Teraz Mickiewicz
pali się jak płomień; Krasiński, który go w owym
momencie widział w Rzymie, przerażony jest nim po-
 prostu: w listach swoich, komicznie wystraszone,
porównując go do Dżengis-chana i do Pankracego
z *Nieboskiej komedii*, Mickiewicz, wciąż wierny swoim
pojęciom o solidarności sprawy ludów, tworzy legion
polski, który pod polskim sztandarem ma walczyć
przeciw Austrii za wolność Włoch. Pragnąc wyzyskać
wszystkie szanse agitacji, Mickiewicz stara się o po-
błogosławienie sztandaru przez papieża; ale kiedy
w czasie audiencji natrafia na trudności i obja się
o gładką dyplomację Watykanu, w uniesieniu potra-
sa gwałtownie ręką papieża, krzycząc: „Wiedz, że
duch boży jest dziś w bluzach paryskiego ludu!”

I po nowych rozczarowaniach roku 1848 Mickiewicz
już nie wraca do dawnego jarzma. Zakłada w Paryżu
w roku 1849 wielki francuski dziennik — pod zna-
miennym tytułem „Trybuna Ludów”. Przeobraża się
w publicystę, daje codziennie artykuły, czasem dwa
artykuły dziennie. Dowcip, sarkazm, grom oburzenia
— to znów trzeźwe logiczne rozumowanie — język
treściwy i giętki — wszystko to znajduje do rozpo-
rządzenia poeta-publicysta.

Jeszcze w roku 1848 Mickiewicz nazwał w liście do
Mazziniego swój legion włoski „armią republikańską
i socjalistyczną”. „Skład zasad”, program polskiego
legionu we Włoszech, napisany przez Mickiewicza,
uderza swoim radykalizmem. Obecnie w „Trybunie
Ludów” Mickiewicz jawnie opowiada się przy czer-
wonym sztandarze.

Mickiewicz-socjalista to dla wielu Polaków, star-
szego zwłaszcza pokolenia, brzmi jakże paradoksal-
nie! Tak, innego Mickiewicza pokazywano im za mło-
du. Radykał — czerwony — to był Słowacki, a Micke-
wicz to miała być owa Polska tradycyjna, kontuszowa,
szakplerzykowa. Ileż trzeba było z Mickiewicza ukryć,
ile przeinaczyć, aby go wtłoczyć w to pojęcie! Ale na-

wet nie wymagało to zbyt wiele trudu. Jakże mały
odsetek spośród dawniejszych czytelników *Pana Ta-
deusza* mógł znać artykuły Mickiewicza z „Trybuny
Ludów”, dopiero po wielu, wielu latach zebrane i wy-
dane po francusku. a jeszcze o wiele później w pol-
skim przekładzie. Każdy od dziecka umiał na pamięć,
jak Podkomorzy poloneza wodzi, a mało kto miał moż-
ność obcowania z myślą socjalną Mickiewicza, wyrażo-
ną w najbardziej bezpośredniej formie. I znowuż w
listach Krasińskiego znajdziemy wierne odbicie wra-
żeń, jakie ta działalność Mickiewicza wywierała na
pewnym typie ówczesnej polskiej umysłowości: z u-
śmiechem dziś czytamy ów znany ustęp z listu Kra-
sińskiego do Augusta Cieszkowskiego o „zbrodniach
druku, wartych zbrodni ojcostwa, zdrady ojczy-
ny” — ustęp kończący się słowami: „Dopierom się
przekonał, jak głęboko upadł Mickiewicz”.

I mimo woli sięgamy po zbiór artykułów poety z
„Trybuny Ludów”, aby sprawdzić, która to z jego wy-
powiedzi mogła przypaść o taką zgrozę hrabiego
Zygmunta. Może to ów cykl artykułów pt. *Socjalizm*,
gdzie m. in. Mickiewicz pisze:

„Socjalizm nowoczesny jest tylko wyrazem poczucia
tak starego jak poczucie życia, wyrazem odczucia tego,
co w naszym życiu jest niepełne, odcięte, nienormal-
ne, a wskutek tego nieszcześliwe. To poczucie objawi-
ło się z siłą zupełnie nową, przynajmniej; jest to nowy
zmysł... nowa namiętność. Dawniejszymi czasy rozna-
miętniano się miłością ku miastom rodzinnym, ku
państwom czysto politycznym, te namiętności, bez wu-
pienia wielkie w porównaniu z namiętnościami ludo-
żercy, który się roznamiętnia jedynie do uczy z cia-
ła swego wroga... te namiętności można obecnie uspra-
wiedliwić jak zamięłowanie dzieci do cacek i cukier-
ków, albo zamięłowanie posłów do posad i pensji; zamię-
łowania... namiętności... prawowite w przeszłości, które
jednak nie zdołają skusić ludzi spragnionych socjaliz-
mu”.

„Socjalizm, jako całkiem nowy, ma nowe pragnie-
nia i nowe namiętności, których pojąć nie mogą ludzie
starego społeczeństwa, podobnie jak pragnień mło-
dzieńca nie pojmie dzieciństwo ani zdzienniała sta-
rość...”

Tak pisał Mickiewicz w „Trybunie Ludów”. Ale ży-
wot „Trybuny Ludów” miał być krótki. Jeszcze w
tym samym roku 1849 rząd nowej republiki najpierw
odsuwa od redakcji Mickiewicza, a potem zamyka
pismo.

I następuje znowu kilka lat, w ciągu których hory-
zont ostatecznie się zaciemnia.

Kiedy wybucha wojna krymska, zrywa się jeszcze
raz Mickiewicz-rewolucjonista, agitator, emisariusz —
ale to już nie to samo co rok 48. I czasy są inne,
i Konstantynopol to nie Rzym. Już zbliża się zresztą
koniec jego pielgrzymstwa. Umiera w pełni działania,
w roku 1855, 26 listopada.

„Polali się łyzy me... na mój wiek męski, wiek kłę-
ski” — mówi Mickiewicz w swoim wierszu napisanym
w Lozannie. W istocie, tych ostatnich dwadzieścia lat
życia to nie jedna klęska, ale szereg klęsk, pasma za-
wodów i rozczarowań. W zamian za to — tryumfalne
życie czekało poetę po śmierci. Ale i w tym pośmiert-
nym tryumfie ileż bywało bolesnej ironii! Jakże trzeba
było nie raz okaleczyć tę namiętną myśl, przeinaczyć
to burzliwe życie, aby je nagiąć do banalnych kultów
składanych pod pomnikami z brązu. Jakże często imię
i słowo Mickiewicza służyło za sztandar hasłom i obo-
zom, które byłyby mu obce lub wręcz nienawistne.
Jakże często wsteczność i sobkostwo odbywało swoje
zbiory pod wezwaniem Mickiewicza, którego myśl była
ich zaprzeczeniem. Jakże często czyniono symbol tra-
dycji — i to jak wątpliwych tradycji! — z tego, który
był wiecznym rewolucjonistą — najpierw w poezji,
a potem w życiu.



ZIEMIA TRZECH BEJÓW

Notatki z podróży po Albanii

Reportaż poniższy jest fragmentem książki-reportażu Edwarda
Karłowicza, która ukaże się w najbliższym czasie nakładem
wydawnictwa „Iskry” pod tytułem „W kraju styczniowych róż”

MIEDZY Korcą i Maliq skręcamy
z wygodnej szosy na boczną, wy-
boistą drogę, wiodącą na wschód.
Wprost przed nami — góry. Wy-
daje się, że odległe zaledwie o kilka
kilometrów, a jedziemy dziesięć, pię-
tnaście minut, i góry są ciągle jedna-
kowo dalekie.

Zamiast nich wynurzają się z za-
godnego zbocza budynki. Długie, rów-
noległe biegnące obory, okrągłe sterty
siana, a dalej ulica: białe płoty, domy.
To wieś Bullgarec. Spółdzielnia pro-
dukcyjna.

Nie będzie to pierwsza wieś, jaką zo-
baczymy w Albanii. Zdążyliśmy już
poznać w najogólniejszych zarysach

problemy albańskiego rolnictwa, zorien-
towane fakty i materiały nie wnoszą
rzeczy rewelacyjnych: jeszcze ciągle so-
cha jest jednym z głównych narzędzi
rolniczych, jeszcze ciągle produkcja
zbożowa kraju jest zależna w ogrom-
nym stopniu od kaprysów przyrody.

W Albanii istnieje około 150 tysięcy
gospodarstw wiejskich. Z tego zaledwie
3% skupiają spółdzielnie produkcyjne,
których jest około setki. Spółdzielczość
na wsi rozwija się powoli — przybywa
po kilka spółdzielni rocznie. Ale już

Ciąg dalszy na str. 10

istniejące będą ziarnem, z którego wyrośnie socjalistyczna albańska wieś.

— Takim ziarnem staje się i nasza spółdzielnia — mówi Gjine Riza, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej Bullgarec. — Póki widno, przejdźmy się, obejrzymy zabudowania gospodarskie, domy, szkołę...

Kiedy po zwiedzeniu spółdzielni siadamy w niedużym pokoiku jej zarządu, Gjine Riza zaczyna mówić:

— Jak widzicie, mieszka się u nas jeszcze dość prymitywnie. Dopiero w tym roku wzniesiliśmy cztery nowe domy i wyremontowaliśmy dwadzieścia najbardziej zaniedbanych. Na początku położyliśmy nacisk na umocnienie samego gospodarstwa. Ja myślę, że to było słuszne. Nie wszyscy się ze mną zgadzali, ale większość tak właśnie postanowiła.

Z dalszego opowiadania przewodniczącego wynikało, że spółdzielnia stoi teraz na trwałych podstawach. Dniówka obrachunkowa — według zakończonych przed paroma dniami obliczeń — wynosi: 7,5 kilograma zboża, 15 dekagramów cukru, 0,1 metra tkaniny, 22 leki gotówką. Do tego mięso, ziemniaki, tłuszcz, miód.

— To jeszcze nie jest bogactwo, sami wiemy. Ale gdybyście znali naszą wieś dawniej...

Było ich trzech: Elmas-Bej, Tahir-Bej i Kazym-Bej. Każdy miał mniej więcej 100 hektarów. Wszystkie niemal rodziny chłopskie dzierżały u nich ziemię. Gjine Riza miał swojego gruntu pół hektara i też musiał dzierżawić, żeby żyć.

— Pół na pół — tak dzieliliśmy plony z dzierżawionych pól. Jeśli był nieurodzaj, Tahir-Bej wściekał się, że jego połowa jest mała. Mówił, że zabierze ziemię i wydzierżawi komu innemu. Nie obchodziło go, że ta połowa, co mniej zostaje, nie wystarczy do przednówki. A kiedy brakło kukurydzy na siew, Tahir-Bej pożyczał, by po zbiorach odebrać w dwóinasób. Niektórzy popadali przez to w dług, musieli oddawać Tahir-Bejowi całe plony, a nawet — ziemię...

Po wyzwoleniu 120 rodzin chłopskich we wsi Bullgarec otrzymało dzięki reformie rolnej blisko 500 hektarów ziemi. Chłopi zaczęli pracować na swoim.

— Nie umieliśmy dobrze gospodarować. Ziemi było dosyć, ale mimo to na przednówku co trzecia rodzina pozostawała bez ziarna. Pomagaliśmy jeden drugiemu i jakoś się wiązało koniec z końcem. Ludzie chodzili w pole, patrzyli, jak na dobrej ziemi rośnie chuda kukurydza, jak czasem pszenica nie obrodzi wcale. Niektórzy czytali książki i gazety o kołchozach, mówili potem, że na przykład w Kazachstanie z gorszej ziemi mają plony trawy razy wyższe niż my. Trochę jednak baliśmy się wrzucić do wspólnego kotła tę ziemię, na którą czekaliśmy tyle lat... Potem przyjechali ludzie z Korca, opowiadali, jaki może być statut, że jak się nam nie uda, to możemy zabrać sobie ziemię i wycofać się ze spółdzielni. Wtedy kilku chłopów (między nimi i ja) powiedziało, że zakładają spółdzielnię, że gorzej niż u Kazym-Beja i Tahir-Beja im nie będzie. A jak nąwa władza dała chłopom ziemię, to ich na pewno nie oszukuje, bo zawsze oszukiwali ci, co zabierali ziemię...

Po zebraniu chłopi się rozeszli, ale nikt w nocy nie spał. Chodzili od chaty do chaty, zbierali się na ulicy, radzili. Zdawali sobie sprawę, że stoją przed poważnym krokiem. A rano 98 chłopów podpisało (przeważnie sobie tylko znanymi zygzakami, bo większość pisać nie umiała) podania o przyjęcie do spółdzielni. Było to w październiku 1948 roku.

Pierwsze wspólne zbiory przyniosły 9 kwintali pszenicy z hektara. Jasne było, że spółdzielnia się utrzyma. W następnym roku, w czasie groźnej posuchy, zebrała spółdzielnia po 11,5 kwintala. Wtedy wszyscy pozostali chłopi ze wsi zgłosili się do spółdzielni. Nie wszystkie jednak podania zostały uwzględnione. Żyli jeszcze w Bullgarec rodziny bejów (pozostawiono im po 5 hektarów), było kilka rodzin chłopskich, które podczas wojny sprzyjały okupantom i do partyzantów odnosiły się wrogo. Tacy nie mieli wstępu do spółdzielni. Ale wszystkich innych przyjęto.

Pokój, w którym rozmawiamy, powoli się zapełnia. Wracając z pola chłopci wchodzi, siadają na ławkach stojących pod ścianami, uważnie słuchają tego, co mówi Gjine Riza. Od czasu do czasu któryś z nich sprostuje czy coś doda. Zapada wieczór, w pokoju robi się ciemno. W mroku błyskają pod ścianami ogniki papierosów.

— Ciemno już, trzeba zapalić światło — mówi przewodniczący. Podchodzi do ściany, następnie wolno, jak gdyby nie chciał zagubić efektu, przekręca kontakt.

— Dawno macie elektryczność? — Dopiero w tym roku nam założyli. W każdej chacie już jest.

Gdy wzrok przyzwyczaił się do jaskrawego światła, rozglądam się po izbie. Sami mężczyźni.

— Czy kobiety u was nie pracują?

— Niektóre już pracują — odpowiada nie bez zażenowania jeden z obecnych. — Ale jeszcze niewiele. Nie zmuszamy nikogo słać do pracy w spółdzielni. U nas we wsi jest ponad sto rodzin muzułmańskich i dwadzieścia parę prawosławnych. U mahometan jest zwyczaj, że kobiecie nie wypada pracować razem z mężczyznami. W domu może narobić się więcej niż muł, ale razem z obcymi — to nie przystoi. Nasze kobiety zaczynają jednak zdawać sobie sprawę, że to nie jest słuszny zwyczaj i część z nich wychodzi już do roboty w pole. Żadnej nie zmuszamy; która rozumie i chce, ta wychodzi...

Mój rozmówca jest wysoki, ma szczupłą, wyrazistą twarz. Mówi wolno, akcentując każde słowo. Cieszy się widać dużym autorytetem — gdy zabiera głos, każdy, nie wyłączając przewodniczącego, zwraca się w jego stronę i słucha uważnie.

— Człowiek powinien kierować się swoim rozumem. Nie można ślepo trzymać się starych zwyczajów. Pochodzą one ze złych czasów i często są same złe. Był u nas dawniej zwyczaj, że kiedy istniał spór między mahometaninem i prawosławnym, to za każdym stawiali jego współwyznawcy. Dużo było z tego powodu niepotrzebnie przelanej krwi. Z taką tradycją zerwaliśmy na zawsze. Dziś w czasie sporu staramy się rozsądzić, kto ma rację. I powodów do sporu teraz mniej.

— Opowiedz, Petro, jak to było z traktorem! — rzuca ktoś.

— Nie wiem, czy nasi goście sobie tego życzą? — odpowiada Petro.

Nie trzeba go jednak długo namawiać.

— Największy spór w naszej spółdzielni był właśnie o traktor. Trzy lata temu powiadomiono nas, że dostaniemy traktory do robót w polu. Ruch się zrobił we wsi, niektórzy twierdzili, że wystąpią ze spółdzielni, jeśli będzie u nas pracował traktor. Okazało się, że ktoś rozpuścił wieści: gdzie przejedzie traktor, tam nic nie wyrośnie. Zanosilo się na wielki spór. Potem umówiliśmy się: poświęcimy na próbę 20 hektarów. Tam puścimy traktor, by obrobili nam ziemię; zobaczymy, co z tego wyniknie.

Niektórzy zaczynają chichotać. Może są nawet wśród nich ci, którzy bronili się przed traktorem... Jeden z chłopów zdejmując ze ściany ozdobny, oprawiony w ramkę dyplom, podaje nam. To odznaczenie Ministerstwa Rolnictwa dla Petro Thanasi ze spółdzielni Bullgarec, którego brygada zebrała w ubiegłym roku na obszarze 20 hektarów średnio po 28 kwintali pszenicy z hektara.

— Czy to te same 20 hektarów?

— Te same! Te same! — padają zewsząd głosy.

W tym roku 75% prac polnych wykonali traktory. Po raz pierwszy zastosowano krzyżowy siew kukurydzy, co podniosło plony o jedną trzecią. Według planu mieli sprzedać państwu 326 kwintali kukurydzy i 74 kwintale pszenicy. Sprzedali więcej: 380 i 120 kwintali. Za nadwyżki otrzymają towary przemysłowe.

Przy pożegnaniu zatrzymuje nas jeszcze przez chwilę siwiutki Sabri Plepi, o twarzy porwanej zmarszczkami i opadających w dół wusach:

— Patrzcie, młody nie jestem. Pół wieku uprawiam ziemię. Ale nigdy w życiu nie miałem jeszcze tyle ziarna w domu. Słyszycie — nigdy w życiu!

EDWARD KARŁOWICZ

MARIAN
PODKOWIŃSKI

Korespondencja własna „Świata“
z Berlina

Tramwaj



Pełnomocnik Wall Street, gen. amerykański Clay, był jednym z autorów planu podziału stolicy Niemiec — Berlina.

PLAC POCZDAMSKI w Berlinie ani przed wojną, ani też dzisiaj nie wyróżnia się zewnętrznie niczym szczególnym, jeśli chodzi o stronę urbanistyczną. Nazwę swoją bierze stąd, iż z Placu tego prowadzi prosta droga do Poczdamu. Tuż obok znajduje się zrujnowany dworzec Poczdamski, ślady dawnych rogatek, stacja kolejki podziemnej — tzw. U-Bahn — i stacja kolei nadziemnej, tzw. S-Bahn, oraz kilka wypalonych wieżowców, z których jeden — „Columbushaus“ — ma szczególnie ponurą przeszłość. Tu gestapo torturowało swoje ofiary w pierwszych miesiącach hitlerowskiego przewrotu.

Swoją smutną sławę powinien Plac Poczdamski zawdzięczać temu, iż tutaj krzyżują się granice sektorów Berlina. Granice dwóch światów. A przede wszystkim tutaj przeciągnięty został amerykański kordon w Berlinie. Ten kordon — który coraz bardziej pogłębia nie tylko podział miasta, ale — przede wszystkim — podział Niemiec. Dlatego przepołowiony Plac Poczdamski stał się z biegiem czasu symbolem podzielonych Niemiec.



Cena jednego bochenka chleba w zachodnim Berlinie równa się cenie 4 bochenków w demokratycznym sektorze. Podobnie jest z książkami i gazetami, z materiałami i wędlinami. Sklepy HO pełne są zachodnich klientów.

KTÓRY ZWIE SIĘ „NADZIEJA”...

Niewidzialna na pozór jest granica podziału dwóch światów na Placu Poczdamskim. Z wyjątkiem owych dni, kiedy prowokatorzy z zachodu dają o sobie znać i urządzają burdy na placu i kiedy naturalnie pojawia się policja ludowa ze strony demokratycznego sektora Berlina. Plac Poczdamski wygląda jak każdy plac w Berlinie, jak każdy plac na świecie. Ludzie spacerują swobodnie, przechodzą z sektora do sektora, odwiedzają się wzajemnie. Od rana spieszą przez Plac Poczdamski, aby robić zakupy w uspołecznionych domach towarowych demokratycznego Berlina — w słynnym już HO (tyle, co nasz PDT).

Dla ludzi biednych na zachodzie — HO jest — jak to się mówi — żyłą złota. Można kupić, choć nie wszystko oczywiście — ale wiele rzeczy i dobrze sprzedać na zachodzie. Stosunek obu walut (przeciętnie jedna zachodnia marka równa się 4 wschodnim) ułatwia całkowicie owe czarnorynkowe transakcje. A jeśli weźmiemy pod uwagę, że bochenek chleba kosztuje i tutaj i tam jedną markę, nie trudno jest obliczyć, iż jeden bochenek zachodniego chleba równa się czterem, powiedzmy, bochenkom wschodniego chleba. A smakują oczywiście tak samo. Podobnie jest z tramwajem czy metrem. Z książkami i gazetami. Z porcelaną i wędliną...

Przez Plac Poczdamski — jak i przez inne pograniczne place i ulice — spieszą więc co rano tłumy zachodnich mieszkańców tego miasta na wschód. Jedni spieszą do roboty, bo wielu ludzi pracuje na wschodzie, inni — po zakupy. Jedni jadą samochodami, inni kolejką podziemną, ale oczywiście najgorzej jest tym, którzy muszą zabrać się tramwajem: dochodzi on tylko do granic sektorów.

Jak daleko sięgnąć pamięcią wstecz przez Plac Poczdamski, przechodziła zawsze najstarsza chyba linia w Berlinie, elektrowóz Nr 74. Tramwaj „74” — linia okólna. Za 20 fenigów można było zobaczyć cały niemal Berlin na trasie od Rennbahnstrasse, w dzielnicy Weissensee, aż do Finckensteinallee, w dzielnicy Lichterfelde. Była to najpopularniejsza linia w Berlinie. I niejeden z cudzoziemskich fotografów swoje pierwsze fotoreportaże z Berlina rozpoczynał od sakramentalnego tytułu: „Linia Nr 74 przez Berlin”.

Tak. Linia Nr 74 można było i po wojnie za 20 zdewaluowanych fenigów objechać cały Berlin. Zobaczyć śródmieście, Alexanderplatz, dawne koszary SS na Lichterfelde i spokojne wille na Weissensee; wypalony plac Hohenzollernów, dziś plac Marksa - Engelsa, miejsce dorocznych manifestacji 1-majowych — i cementowe mosty nad błotnistą Szprewą, kanał Hawell i porty rzeczne. Linia Nr 74 można było dojechać wszędzie. Cóż dziwnego, że cieszyła się taką popularnością!

PODZIAŁ MIASTA

Ale nadszedł rok 1948, rok tzw. blokady Berlina. Pierwszy etap „zimnej wojny” rozpiętej w Niemczech przez amerykańskiego generała Clay’a, nie tylko gubernatora amerykańskiej strefy, ale również samowładnego pełnomocnika Wall Street. Niewidoczne dotąd granice sektorów zaczęły nabierać realnych kształtów. Wypadki potoczyły się szybko. Plany podziału Niemiec, długo przechowywane w tajnych gabinetach w Waszyngtonie, otrzymały swój bieg. Byłem wtedy w Berlinie, mieszkałem w amerykańskim sektorze, więc mogłem z bliska, a własne oczy zobaczyć, jak z tygodnia na tydzień pogłębiał się podział miasta, jak narastały mury uprzedzeń i nienawiści. Jak nagle Amerykanie przeprowadzili podział waluty, jak rozbito jedność magistratu i utworzono zachodni magistrat w Schoenebergu, dziś — siedzisko wszystkich dywersyjnych planów wodowych rozbijaczy jedności Niemiec.

Potem przyszła kolej na odrębne znaczki pocztowe, paszporty, zakaz sprzedaży demokratycznych gazet na zachodzie, wprowadzenie celnej kontroli pojazdów udających się na wschód. Amerykański kordon pośrodku miasta stał się wkrótce realną rzeczywistością. A wraz z nią rosła podsycona przez służących pismaków nienawiść między obu częściami gwałtem i perfidią podzielonego miasta.

Kiedy pewnego dnia, a było to w maju roku 1949, skończyła się owa blokada Berlina z jej „mostem powietrznym” i innymi trickami amerykańskiej propagandy, Berlin podzielony był „na mur — beton”. A o to przecież tylko chodziło! Strojenie się w piórka zbawców Berlina, którzy głodującej ludności dawali zamiast chleba rodzynek, zamiast mleka Coca-Colę, nie było już więcej poplecznikom gen. Clay’a potrzebne. Berlin został podzielony i przekształcony w amerykański przyczółek w samym sercu NRD. Cel został osiągnięty niewielkim zresztą kosztem, jeśli weźmiemy pod uwagę polityczne zyski osiągnięte w „zimnej wojnie” o Berlin. Cóż znaczy dla możnowładców z Wall Street kilkuset Niemców zmarłych z głodu i zimna, 27 zabitych lotników amerykańskich i kilkanaście rozbitych samolotów? Powiecie, że wydano również kilkaset milionów marek, albo i więcej!? Słusznie. To samo pytanie zadali dziennikarze amerykańscy ówczesnemu ministrowi lotnictwa Symingtonowi, kiedy bawił on zimą 1948 roku w Berlinie dla inspekcji „mostu powietrznego”. A wiecie, co ten czcigodny polityk odpowiedział? Cóż znaczą nawet miliony, kiedy chodzi o taką sprawę, jak chociażby przeszkolenie tysięcy lotników i personelu lotniczego w nocnych raidach na wschód... To były gigantyczne manewry powietrzne, o jakich nawet generałowie z Waszyngtonu marzyć nie mogli.

ZA FASADĄ LUKSUSU

Podział zachodniego Berlina dał się wkrótce odczuć ludziom najbardziej zainteresowanym. A więc mieszkańcom zachodnich sektorów tego miasta. Na skutki nie trzeba było zresztą długo czekać. Likwidowało się większe sklepy i warsztaty rzemieślnicze: nie miały surowców. Nikt nie dbał o miasto. Gruz leżały na ulicach. Leżały jeszcze do dzisiaj. Jeśli cokolwiek budowano, to hotele dla turystów, banki, siedziby wielkich koncernów ubezpieczeniowych, nocne knajpy i spelunki karciane. Nie trwało długo i zachodni Berlin mógł się wykazać rekordową cyfrą 300 tysięcy bezrobotnych. A więc mniej więcej ponad milion osób w zachodnim Berlinie żyło w nędzy i opuszczeniu. Rzecz niewiarygodna, jeśli weźmiemy pod uwagę, że w Berlinie według ponadto dziesiątki tysięcy ro-



Amerykański kordon, dzielący żywy organizm wielkiego miasta na dwie części, przebiega środkiem placów i ulic Berlina. Codziennie tysiące mieszkańców Berlina zachodniego mijają go, udając się do pracy w demokratycznym sektorze.



W wielu punktach zachodnich sektorów wybuchają raz po raz robotnicze strajki. Ludzie pracy protestują przeciwko nędzy, kryjącej się za fasadą luksusu, przeciwko bezrobociu, przeciwko faszystowskiemu hecom i prowokacjom.

dzin otrzymujących rentę inwalidzką czy inną. Zza fasady luksusowych sklepów w rozjażgotanej Kurfürstendamm, gdzie neony i świetlne reklamy mają oślepić przechodniów, wзира cała nędza bocznych ulic.

A ci, którzy chętnie popierają sławetne luksusowe lokale na Kurfürstendamm, nie mniej szczerze opłacają dywersyjną robotę rozmaitych siatek szpiegowskich, których siedliskiem stał się zachodni Berlin. Nie ma oczywiście dostatecznych kredytów na szkoły, na odbudowę chociażby słynnej ongiś politechniki charlottenburskiej, ale miliony płyną do kas rozmaitych dzienników w amerykańskiej służbie, miliony idą na fundusz radiowych szeżkakczek, które swoją misję upatrują w sianiu nienawiści w podzielonym Berlinie, w podżeganiu do wojny. Nie ma pieniędzy w kasach opieki społecznej, zwłaszcza opieki nad młodzieżą, ale rozmaite grupy neohitlerowskie i militarystyczne, które usiłują odzyskać za amerykańskie dolary utracony teren w Berlinie, nie mogą narzekać na brak funduszy propagandowych lub dyspozycyjnych.

NA LINII Nr 74

Ludzie w zachodnim Berlinie są zmęczeni i apatyczni. Na wiele rzeczy już nie reagują. Toksyna apatii jest jednym z zabiegów politycznej medycyny amerykańskich znachorów. Znamy to dobrze z Ameryki. Brak perspektywy — to dla setek tysięcy ludzi w zachodnim Berlinie ciężar, który rzeczywiście przytłacza. Po dwunastu latach hitlerowskiej władzy, po przegranej wojnie, którą Berlin odczuł najboleśniej, a której ślady widać tu jeszcze na każdym

kroku, lata izolacji w zachodnich sektorach, lata poniewierki i bezrobocia przy równoczesnej orgii luksusu dla wybranych, to są rzeczy, które przytłaczają. Rzeczy, które wśród mniej odpornych powodują apatię. Zwłaszcza, kiedy prawie o miecie, niedaleko Placu Poczdamskiego, po drugiej stronie Brandenburskiej Bramy kwitnie nowe i pełne perspektyw życie. Gdzie rosną nie tylko domy, ale nowi ludzie. Ludzie, którzy w trudzie i mozołach dźwigają z ruin hitlerowskiej wojny inne, lepsze życie. Dla wszystkich.

Dlatego niejeden z zachodnich berlińczyków, gdy stanie na Placu Poczdamskim, z melancholią ogląda manewry tramwaju linii Nr 74. Dziwne bowiem rzeczy wyprawia ten tramwaj, którym można było kiedyś cały Berlin objechać.

Jeden tramwaj tej linii nadjeżdża z Weissensee, ze wschodniej strony Berlina. I przystaje w połowie Placu Poczdamskiego. To jest jego krańcowy przystanek. Z zachodniej strony nadjeżdża elektrowóz Nr 74 z Lichterfelde. I on ma swój krańcowy przystanek w połowie Poczdamskiego Placu. I po chwili każdy jedzie znowu w swoją stronę, odbywając tylko połowę dawnego kursu przez miasto.

A ludzie zgromadzeni wokół Placu Poczdamskiego obserwując groteskowe manewry tramwaju linii Nr 74, czekają z utęsknieniem na ten wielki dla nich dzień, kiedy oba wozy będą tak jak dawniej szczipione razem. Będzie to symbol zjednoczenia Berlina. Zjednoczenia całych Niemiec.

Oto dlaczego ludzie w Berlinie swój tradycyjny tramwaj Nr 74 nazywają tramwajem „nadziei”.

WARSZAWA GODZINA 19

Zdjęcia: WŁADYSŁAW SŁAWNY



Wieczór jest mroźny, a przecież nie brak amatorów zimnego piwa. Fotoreporter nie miał już na tyle odwagi, by spytać tego obywatela o przyczynę tak niezwykłego pragnienia... Dobrze, że udało się zrobić zdjęcie.



Dialog na „rozstajnych drogach”. On argumentuje, że musi skoczyć jeszcze do tego tramwaju, aby załatwić kilka pilnych spraw. Ona nie jest wcale przekonana o pilności tych zajęć. Reporter „cyknął” migawką i dyskretnie się wycofał...

Odgadnięcie bez trudności, że fotoreporter musiał nieprzepisowo przejść przez jezdnię, aby dokonać zdjęcia pędzących samochodów. Ale nowa technika zdjęciowa sprawiła, że załatwił tę sprawę szybko i uniknął zapłacenia karnego mandatu — tak przynajmniej opowiadał w redakcji... Może jednak w rzeczywistości milicjanci zauważyli go w porę?...



UWAGA, ROZPOCZYNAMY SPACER! OTO ETAP P

Rzuć okiem na zdjęcia, Czytelniku, i wyznaj z bezwzględną szczerością, czy widzisz w nich coś szczególnego? Nie — odpowiesz — jest to kilka obrazków warszawskich, takich, jakie dostrzega się codziennie wieczorem na ulicy, w tramwaju, w kawiarni... Zwyczajne życie wielkiego miasta...

Otóż właśnie w „zwyczajności” tych zdjęć leży ich niezwykłość! Po raz pierwszy fotoreporterowi naszemu udało się utrwalić przy pomocy kamery scenki wielkomiejskie wieczorem, bez użycia sztucznego światła, bez pozowania „modeli”, w naturalnym ruchu i naturalnym oświetleniu ulicznym. Dla znawców sztuki fotograficznej wyjaśniamy dodatkowo, że zdjęcia wykonano radzieckim aparatem „Zorki” z obiektywem typu „Jupiter 1:1,5”. Ta specjalna technika fotograficzna otwiera szerokie perspektywy rozwoju przed reportażem w naszym piśmie. Dlaczego? Byleś, Czytelniku, na pewno już niejednokrotnie fotografowany i wiesz, że w momencie, gdy wyrasta przed Tobą sylwetka reportera uzbrojonego w potężny aparat błyskowy, gdy oślepią Cię na moment przeraźliwe światło żarówki o wielkiej mocy — wtedy mimo woli zmieniasz wyraz twarzy, czasem zatrzymujesz się, zastygasz najczęściej w nie bardzo mądrej pozie i w rezultacie... zdjęcie trzeba powtarzać, już „na zimno”, przy użyciu wszelkich dostępnych tricków.

W reportażu, który Ci obecnie prezentujemy, zarówno fotografujący, jak i fotografowani unikali takich nieprzyjemności. O godzinie 19, a więc w chwili, gdy Warszawa rozpoczyna jak gdyby drugie życie — rozrywkowe, fotoreporter, przez nikogo nie zauważony, wmieszał się w tłum, wchodził do sklepów, do tramwajów, przystawał przed kioskami, podchwytując obrazki jak najbardziej „intymne” i, o dziwo, wrócił bez guza na głowie i... z bogatym materiałem. Zresztą, poświęć Czytelniku chwilę, powędruj w wyobraźni z naszym fotoreporterem i wydaj opinię, czy dokonał rzeczywiście interesujących zdjęć.



WARSZAWA — MDM: TLUMY WĘDRUJĄ TAM I NA POWRÓT, NIE ZRAZONE ROZKOPANYMI CHODNIKAMI.



Przed stoiskiem z owocami nie ma problemów: jabłka pę-
sortowane na gatunki, ceny widoczne. Co kupić? Istnieją
dwa typy sprzedawców: jeden zachwala każdy towar, a
drugi znów powiada: „kwestia smaku” i robi obojętną minę.



Podczas gdy jedni dążą do sklepów, kin i ka-
wiarni, drudzy, niestety, do apteki. Trudno, to
jest życie. Fotoreporter czuje się w obowiązku
zafotografować także i to zdjęcie, wykonane o godz. 19.



Nowinki, ploteczki, spotkania umówione i spotkania niespodziewane — słowem warszawska kawiarnia. Na pierwszy rzut oka można
stwierdzić, że „uchwyceni” tutaj obywatele należą do stałych by-
walców, czujących się przy stoliku kawiarnianym jak w domu...



Oto zdjęcie z serii „nieprzyjemnych niedyskrecji”. Nie
ma chyba kobiety w Warszawie, która chciałaby być
uwieczniona w tej właśnie sytuacji. Na szczęście aparaty
do suszenia włosów uniemożliwiają rozpoznanie twarzy...

Przed kioskiem „Ruchu” klienci zadają sobie dziesiątki pytań, na które nieraz trudno
odpowiedzieć. Kupić „Nową Kulturę” czy „Przegląd Kulturalny” — które pismo bę-
dzie dziś bardziej interesujące? Czy zyłki „Lotnik” nadają się do golenia? Czy po-
prawily się nasze papierosy? Fotoreporter uwiecznił te uzasadnione wahania...



Wóz przemyka szybko, ale fotoreporterowi wystarcza ułamek sekundy, aby przekonać
wszystkich, że w tramwaju można prowadzić interesującą rozmowę, można ziewać z nu-
dów, spać, marzyć i tak dalej. Zdjęcie o tyle nietypowe, że tramwaj — jak widać — pu-
sty, co jest zjawiskiem w Warszawie niespotykanym. Ale i to przecież czasem się zdarza...



MARK TWAIN

SCENY Z AMERYKAŃSKIEGO ŻYCIA POLITYCZNEGO

Przełożył JÓZEF BRODZKI

W roku 1873 Mark Twain wraz ze swym długoletnim przyjacielem i znanym dziennikarzem amerykańskim, Karolem Dudley Warnerem, napisał powieść satyryczną pt. „The Gilded Age” — „Wiek pozłacany”.

W przedmowie do niej pisał Mark Twain: „Tematem tej książki jest sprzedażność, która się zakradła do naszego życia politycznego. Ta zarazą ogarnęła wszystkie stany Ameryki, wszystkie dziedziiny naszego życia publicznego”.

Od napisania tych słów minęło ponad 80 lat — i nie się nie zmieniło w krainie „pozłacanej” kultury.

Ten sam bandytyzm polityczny, te same frazesy o „prawdziwej demokracji”, ta sama dyskryminacja „kolorowych” obywateli, te same sprężyste manipulacje w sądownictwie, w prasie oraz wybuchające raz po raz głośne skandale o korupcji wysokich dygnitarzy. Kropka w kropkę to samo, co opisywał niegdyś Twain.

Toteż aktualność jego satyry bynajmniej nie przebrzmiała: skandale dokola Białego Domu, Senatu, Kongresu są nadal na porządku dziennym, wybory — nadal rywalizacją sprzedażności i niekczemności, a to, co dzisiaj wyrabia w Stanach Zjednoczonych osławiony McCarthy, wyrasta z tego, co przed

pół wiekiem opisywał Mark Twain w swoich satyrach na amerykańską demokrację.

„Nietolerancja amerykańska” — (tak się to wtedy nazywało, dziś świat nazywa to „neshitleryzmem” lub „faszyzmem amerykańskim”) — znalazła potwierdzenie w niedawnym zarządzeniu, na którego podstawie z bibliotek publicznych w wielu stanach amerykańskich wycofano wszystkie te utwory Marka Twaina, które demaskują prawdziwe oblicze Stanów Zjednoczonych. Marka Twaina jako „humorystę” amerykańska cenzura uznaje.

Usunięto również dzieła Gorkiego, Tolstoja, Manna, Dreisera, Fausta. W niektórych stanach nawet spalono na stosie „wykłe” książki...

...W roku 1906 Gorki podczas swego pobytu w Stanach Zjednoczonych odwiedził Marka Twaina. Następne spotkanie nastąpiło w roku 1954... na stosie palonych książek.

Te właśnie dwa spotkania wielkich pisarzy i bojowników o prawdę ilustruje rysunek reprodukowany z „Krokodyla” (Nr 28 z roku bieżącego).

Wyjątki z „Wieku pozłacanego” ukazują się po raz pierwszy w polskim przekładzie. Wraz z innymi nieznanymi w Polsce utworami Marka Twaina stanowiąc będą tom pt. „Pamflety polityczne”, który wkrótce ukaże się nakładem wydawnictwa „Książka i Wiedza”.

PRZEDSTAWICIELE NARODU W WASZYNGTONIE

Czcigodny Oliver Higgins był deputowanym z pewnego dość odległego terytorium, które dopiero niedawno ukonstytuowało się jako odrębny stan amerykańskiej republiki. Wspomniany dżentelmen był właścicielem największego szynku, sprzedawał najlepsze whisky w centralnym osiedlu swego małego cywilizowanego okręgu i dlatego uważany był za czołową osobistość w gminie i człowieka najbardziej odpowiedniego, by ją reprezentować w Kongresie.

W swoich rodzinnych stronach Higgins cieszył się ogromnym autorytetem, był — jak się to mówi — „ożywiony duchem społecznym”, pełnił funkcje komendanta straży pożarnej, zabił kilka osób i posiadał niewyczerpany zapas obelżywych wyzisków.

Nosił nakrochmalone koszule nieposzlakowanej czystości i zapewne nie było na świecie człowieka, który z większą elegancją i celnością potrafiłby — zadzierając nogę do góry — strzepnąć śnieżnej białości chusteczką pyłek z czubka bucika. Jego złoty łańcuszek do zegarka ważył około funta, złoty pierścień na palcu kosztował kilkadziesiąt dolarów, w krawacie miał brylantową szpilkę, a przedział na fryzurze sięgał do samego szczytu. Uchodził za najbardziej wykwintnego dżentelmena w całej okolicy. Co się zaś dotyczy opowiadania pięprnych dykteryjek, to — jak twierdzili wszyscy — mógł z nim rywalizować jedynie sam gubernator, powszechnie szanowany starzec o siwej głowie.

Czcigodny Higgins nie na próżno przybył do Waszyngtonu, by służyć swej ojczyźnie. Udało mu się przeprowadzić przez Kongres ustawę o wyasygnowaniu na rzecz ludności indiańskiej zamieszkującej terytorium jego stanu pewnej dość poważnej sumy pieniędzy, jako odszkodowania za zabrane im ziemie, co niewątpliwie uczyniłoby Indian zamożnymi ludźmi, gdyby owe pieniądze trafiły kiedykolwiek do ich rąk.

Czcigodny Patrick O'Railly był bogaczem pochodzącym z irlandzkiego miasta Cork. Ściśle mówiąc, stał się bogaczem już po przyjeździe z Irlandii. Po opuszczeniu bowiem parowca w Nowym Jorku, O'Railly zatrzymał się na krótko w pewnym dość zakonspirowanym urządzie w Castle Garden, by otrzymać tam gotowe dokumenty, z których wynikało, że... jest on już od dwóch lat obywatelem Stanów Zjednoczonych. Następnie O'Railly złożył swój głos na rzecz partii demokratycznej (właśnie odbywały się wybory) i udał się do miasta, by znaleźć jakieś mieszkanie. O'Railly posta-

nowił poświęcić wszystkie swe siły budownictwu: w ciągu dnia mieszkał wapno i nosił cegły, a wieczorami studiował miejscowe obyczaje polityczne. Gorliwość w pracy i oszczędność pozwoliły mu wkrótce otworzyć szynce w jednej z najbardziej obskurnych dzielnic Nowego Jorku, co z kolei przyczyniło się do zdobycia pewnych wpływów politycznych.

My, Amerykanie, przede wszystkim dbamy o to, by naród miał możność wybierania zgodnie ze swą wolą najlepszych przedstawicieli na najbardziej odpowiedzialne stanowiska w państwie... Wybory miejskie zaczynają się u nas zazwyczaj od dzielnicowych zebrań wyborców. Kontrolę nad tymi zebraniem sprawuje przeważnie miejscowy właściciel szynku i jego pomocnicy (reszta unika przedwyborczej gorączki i woli siedzieć w domu). Delegaci owych dzielnicowych zebrań tworzą z kolei konwenty wyborców z partii republikańskiej i demokratycznej, z których każda zgłasza własną listę niesprzedajnych kandydatów, nadających się do objęcia stanowisk społecznych.

Następnie w odpowiedniej chwili na scenie zjawia się wielki i łatwowny naród, głosuje zgodnie z własną wolą i wznosi hymny na cześć Stwórcy za to, że pozwolił mu mieszkać w wolnym kraju, nie wiedzącym co to despotyzm.

Patrick O'Railly szybko zjednał sobie przyjaciół i wpływy, gdyż w każdej chwili był gotów złożyć w policji fałszywe zeznanie na rzecz któregoś ze swych klientów lub udowodnić jego alibi, w razie gdy przytrafiło mu się pozbawić kogoś życia w pobliżu jego szynku. Powyższe względy sprawiły również, że Patrick O'Railly został wkrótce działaczem politycznym i został wybrany na pewne, na razie niezbyt wybitne, stanowisko w samorządzie miejskim. Skromne uposażenie otrzymywane z kasy publicznej pozwoliło mu szybko uciąć kwotę dostateczną dla otwarcia wytwornego lokalu w luksusowej dzielnicy miasta, tudzież domu gry przy dawnym szynku.

O'Railly stał się powszechnie znany i zdobył ogólny szacunek. Wybrano go na radnego miasta. Była to złota żyła. O'Railly zamknął szynce. Jego powód uważano za najszykowniejszy w całym mieście.

Stopniowo stawał się jednym z najpoważniejszych przedsiębiorców budowlanych, aż został najbliższym przyjacielem pocziwego Williama M. Whyde'a, tego samego, co to okradł miasto na dwadzieścia milionów

DIALOG NA TEMATY POLITYCZNE

...— Drogie panie, dziwi mnie pan. Jest pan zapewne źle poinformowany o tym, jak załatwia się podobne sprawy... Wszystko jest nad wyraz proste. Zastosowanie środków prawnych pociąga za sobą koszty. Niechże pan sam rozważy. Aby tę sprawę załatwić pomyślnie, powinien pan przede wszystkim zapewnić sobie większość w Komisji Izby Reprezentantów. Będzie to kosztowało około dziesięciu tysięcy dolarów na osobę. Czyli — czterdzieści tysięcy. Większość w Komisji Senatu będzie kosztowała tyleż — czyli dalszych czterdzieści tysięcy. Niewielka łapówka dla przewodniczących tych komisji, co najmniej po dziesięć tysięcy, czyli jeszcze dwadzieścia tysięcy — i oto, ani się obejrzały! sto tysięcy dolarów. Następnie siedmiu z tzw. lobby*) płci męskiej po trzy tysiące — czyli dwadzieście jeden tysięcy, i jeden — płci żeńskiej — dziesięć tysięcy. Dziesięciu nieposzlakowanych członków Izby Reprezentantów oraz Senatu — po trzy tysiące każdy, czyli razem trzydzieści tysięcy. (Nieposzlakowani kosztują drożej, gdyż nadają odpowiedni styl całej sprawie). Dwudziestu drobniejszych posłów spośród przedstawicieli farmerów (którzy w ogóle nie głosują, jeżeli się ich nie „posmaruje” uprzednio) po pięćset dolarów

*) Lobby — organizacja pokątnych pośredników, działających w kuluarach Kongresu. Mają oni wielki wpływ na charakter uchwalanych ustaw.

DRUGI DIALOG NA TEMATY POLITYCZNE

...— Sądę — powiedział pułkownik — że Kongres dąży do prawdy w granicach, na jakie pozwala mu posiadany rozum. Nie może pan żądać od niego czegoś, co przerasta te możliwości. Pierwsza rzecz, od której Kongres zazwyczaj zaczyna, to tak zwane „samoooczyszczenie”. Rozpoczęte zostanie dochodzenie przeciwko dwudziestu lub trzydziestu, a może nawet pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu członkom Kongresu za pobieranie łapówek w ciągu ubiegłej kadencji.

— Więc jednak takich posłów jest około kilkudziesięciu?

— Zechce pan zważyć, że w naszym kraju, korzystającym z wszelkich swobód, gdzie każdy może być wybrany deputowanym do Kongresu, nie podobna wymagać od tej instytucji, by panowała w niej czystość obyczajów niczym w raju. Byłoby to coś wręcz nienaturalnego. W Kongresie zawsze znajdzie się około sześćdziesięciu, osiemdziesięciu, a nawet i stu pięćdziesięciu takich osobników, którym daleko do uosobienia aniołów. Na ogół jednak stoją oni na dość wysokim poziomie i sądę, że możemy być zupełnie spokojni. Nawet w czasach obecnych, kiedy ludzie nie robią nic innego, tylko narzekają, a dziennikarze nie znają żadnego umiarkowania, w Kongresie zasiada mimo wszystko dość pokaźna mniejszość ludzi uczciwych.

dolarów, a był tak poważany i szanowany przez ludność miasta, że kiedy szeryf przybył do jego gabinetu, by go aresztować, jako kryminalnego przestępcę, Whyde zacerwienił się i prosił o wybaczenie mu. Jedno z pism ilustrowanych zamieściło nawet rysunek przedstawiający tę scenę, przy czym z komentarzy wynikało, że redaktor szczerze ubolewa z powodu zastosowania względem świetlanej postaci, jaką był mister Whyde, tak brutalnego środka, jak areszt. Mister Patrick O'Railly był dostawcą tapicerskich gwoździ do nowobudującego się gmachu sądowego, po trzy tysiące za beczułkę, a także sprzedawał osiemnaście tuzinów termometrów (kupił je po 60 centów za sztukę) po cenie 1500 dolarów za tuzin. Inspektor budowy oraz biuro kontroli uznali te rachunki, natomiast burmistrz, który nie był wprawdzie przestępcą, lecz po prostu nieokrzesanym człowiekiem, podpisał je. Kiedy rachunki zostały uregulowane, wielbiciel mister O'Railly, idąc za przykładem hojnych przyjaciół mister Whyde'a, ofiarował mu szpilkę z brylantem wielkości orzecha, po czym mister O'Railly przestał bezpośrednio zajmować się transakcjami i dla rozrywki nabywał znaczne nieruchomości przepisując je niezłocznie na inne nazwiska.

Po pewnym czasie w pismach ukazały się rewelacyjne artykuły, w których zarówno mister Whyde, jak i mister O'Railly zostali nazwani złodziejami.

Cały naród stanął w ich obronie i wybrał obydwoh dżentelmenów deputowanymi do zgromadzenia ustawodawczego stanu Nowy Jork, co istotnie było najodpowiedniejszym terenem dla ich dalszej działalności.

Pisma nie uspokoiły się jednak i obu działaczy trzeba było oddać pod sąd za jakieś drobne wykroczenia.

Wtedy na scenę wystąpiły nasze nieustraszone organa sprawiedliwości. Dzięki nim udało się obu dżentelmenom, pozostającym pod śledztwem, ułożyć listę przysięgłych w taki sposób, że znalazło się na niej dziesięciu lokatorów pobliskiego domu wariatów oraz trzech dżentelmenów, którzy dopiero co przeszli pełny kurs wyszkolenia w Sing-Sing.

Whyde i O'Railly wyszli z sali sądowej czystszy jak jagniątko. Co prawda w zgromadzeniu ustawodawczym zgłoszono wniosek domagający się skreślenia ich z listy posłów, ale wniosek został odrzucony. Byłoby to równoznaczne z żądaniem, by dzieci wyrzekały się swego rodzinnego ojca, wszak było to zgromadzenie ustawodawcze najnowszej typu...

„na ryło“ — razem dziesięć tysięcy. Karmienie posłów obiadam wyniosło nie mniej niż dziesięć tysięcy. Następnie wydatki na prasę. Licząc z grubsza kosztowała nas sto osiemnaście tysięcy dwieście pięćdziesiąt cztery dolary i 40 centów...

— Ależ pan żartuje!

— Drogi panie, tu nie ma żartów! Prasa, zapewniam pana — to nie są drobnostki. Proszę również liczyć się z tym, że do listy kosztów trzeba będzie dodać ofiary złożone w imieniu naszej spółki akcyjnej na pogorzelców w Chicago, na pogorzelców w Bostonie, na sierociniec itd. Umieszcza się w piśmie w jednej rubryce pełną nazwę naszej spółki, a w następnej — **tysiąc dolarów**. To doskonały atut, zapewniam pana, i przy tym świetna reklama... a jeżeli życzy sobie pan coś religijnego, to pastor może również wspomnieć o tym z kazalnicy. Składanie ofiar na cele religijne — to najskuteczniejsza reklama. Ofiary religijne kosztowały nas szesnaście tysięcy dolarów z centami...

— Wielki Boże!

— Tak. A teraz powiem panu, pod jakim względem powiodło nam się doprawdy niezwykle. Przekonał się pewnego meża stanu, zajmującego w rządzie niebotyczne stanowisko, by zechciał wyrazić o nas parę życzliwych słów do redaktora pisma o religijnym kierunku i posiadającego olbrzymi nakład. Podniosło to ogrom-

nie nasze szanse wśród bogobojnych biedaków. Pismo o kierunku religijnym — oto co jest nam właśnie potrzebne przy załatwianiu podobnych spraw. Pismo zamieszcza pański artykuł wśród reszty materiału prasowego i jeżeli opatrzy pan go dwoma, trzema cytatami z Pisma Świętego, następnie doda parę zdań o potrzebie krzewienia trzeźwości i rozpowszechnienia szkółek niedzielnych, przy czym uroni pan leżkę z powodu „młodszego swego brata o spracowanych dloniach i czystym sercu“ — ma pan wygraną sprawę i nikt się nawet nie domysli, że jest to artykuł reklamowy. Zwykle pismo umieści pański artykuł w dziale ogłoszeń, co będzie robotą wykonaną grubymi nićmi... Wybierzmy więc lepiej w tym celu pismo o kierunku religijnym...

— Niechże pan posłucha. Wysyłamy przecież mnóstwo misjonarzy do dalekich krajów, by cywilizować różne narody „pograżone w mroku“. Czyż nie byłoby znacznie rozsądniej i taniej, gdyby ci ludzie przyjechali do nas i przyjrżeli się naszej cywilizacji u jej — że tak powiem — źródeł...

— Najzupelniej się z panem zgadzam. Czy pan już odchodzi? Życzę panu szczęśliwej podróży. Proszę, niech mnie pan odwiedza. Będę bardzo rad udzielić panu nowych informacji o dalszym przebiegu naszych spraw...

— Ależ, pułkowniku, ta pokaźna mniejszość ludzi uczciwych jest całkowicie bezradna i nie potrafi nic zdziałać.

— Nie zgodzę się z tym.

— Nie zgadza się pan? Cóż ci ludzie mogą zdziałać?

— Mogą się posługiwać różnymi sposobami, bardzo licznymi sposobami.

— Może mi pułkownik zechce wymienić bodaj jeden z tych sposobów?

— Jest to trudne pytanie i nie podobna od razu odpowiedzieć na nie. Wymaga ono namysłu. W każdym razie podobne sposoby istnieją i ta okoliczność sprawia mi wielką satysfakcję.

— Dobrze, dajmy więc temu spokój... a co zamierza uczynić Kongres w przyszłości?

— Właśnie miałem zamiar powiedzieć o tym. Dochodzenie w sprawie posłów, którzy brali łapówki, zajmie około czterech tygodni.

— Niepotrzebna strata czasu... i pomyśleć, że wszyscy otrzymują pensję, jako funkcjonariusze państwowi!...

— Oczyszczenie źródła władzy ustawodawczej uważa pan za niepotrzebną stratę czasu? Nigdy nie przytrafiło mi się słyszeć coś podobnego! Otóż natychmiast po

zakończeniu sprawy posłów, którzy brali łapówki. Kongres przystąpi do rozpatrywania spraw posłów, którzy dawali łapówki, po to, by uzyskać miejsce w Kongresie. To zajmie jeszcze jeden miesiąc.

— Doskonale, niech pan pułkownik mówi dalej. Półowa sesji jak nic zejdzie na to.

— Następnie zaczniesz pociągać jeden drugiego do odpowiedzialności za różne drobne grzeszki, jak na przykład sprzedawanie awansów w Wojskowej Akademii w West Point i temu podobne sprawy, robione po prostu na pokrycie kieszonkowych wydatków. Możliwe, że nie warto się tym zajmować, ale Kongres nie może się uspokoić, zanim nie wywabi tych wszystkich plamek. Sądzę, że ten fakt całkowicie zasługuje na uznanie.

— Ile czasu zajmie wywabianie tych drobnych plamek?

— Około dwóch tygodni.

— Czyli z tego wynika, że Kongres będzie w gruncie rzeczy bezradny i bezczynny w ciągu całych dziesięciu tygodni. To bardzo pocieszające... A czy nie przyszło panu na myśl, że po usunięciu wszystkich posłów, o których była mowa, Kongres znajdzie się bez niezbędnego quorum?

— Wcale nie mówiłem, że Kongres będzie kogośkolwiek usuwał...

— Jak to? Nie zostaną usunięci?

— W żadnym wypadku! Ich się nigdy nie usuwa — byłoby to pogwałceniem tradycji.

— Więc w takim razie po co w ciągu całej sesji rozpatrywać te sprawy i po co ten cyrk?

— Taki jest zwyczaj — kraj domaga się tego.

— Widocznie kraj jest niespełna rozumny.

— Jest pan w błędzie. Kraj zawsze przypuszcza, że ktoś zostanie usunięty.

— A kiedy okaże się, że nikt nie został usunięty, co kraj wtedy pomyśli o tym?

— Kiedy nadejdzie owa chwila, akcja samoocyszczania tak wszystkim obrzydnie, że kraj będzie zadowolony, kiedy Kongres zajmie się wreszcie czymś innym. Jednak prowadzenie dochodzeń bynajmniej nie jest — moim zdaniem — stratą czasu. Nie uwzględnia pan ogromnego i dodatniego moralnego wpływu tej procedury.

— Dodatkowego moralnego wpływu? Na kogo?

— Jakby to panu wytłumaczyć... Sądzę, że przede wszystkim chodzi o wpływ na inne kraje... To jest wielkie posłannictwo być wzorem dla całego cywilizowanego świata!...

ADOLF RUDNICKI

Niebieskie kartki

TRZY STRONICZKI MIECZYSŁAWA

OCIEŻAŁOŚĆ twórcza: wszystko naokoło traci blask. Nie można sobie wytłumaczyć, że da się przecież żyć i poza pracą twórczą, że i poza nią można cieszyć się życiem. Nieszczęście polega na tym, że kto za chleb raz placił ogniem twórczym, już go nie zadowoli zapłata w innej monecie! Na tym polega idiotyzm takiego Mieczysława, który mówi: A ja sobie dziennie tłumaczę trzy stroniczki starej dobrej prozy i nie mam wymagań. Mieczysław nigdy nie zaznał prawdziwego upojenia twórczego, nigdy nie natrafił na ślady stóp ludzkich w pustyni, stąd jego słowa.

Chociaż skąd wiesz? Skąd wiesz, jak naprawdę wygląda jego dzień? Skąd wiesz, czy wychodząc z pokoju nie nakłada maseczki bardziej nieprzeniknionej niż inne. Przecież i pod jego trzema stroniczkami płynie strumyk krwi ludzkiej.

DYLETANT

Pierwszy i główny cel literatury: dotrzeć do tego, co w człowieku wielkie, podniebne. Literatura, która stawia sobie inne zadanie, prędzej czy później pójdzie na śmietnik. Żyć będzie póty, póki ją wspierać będzie koniunktura, ani dnia dłużej! Innego celu poza ściganiem wielkości w człowieku literatura nie powinna mieć. Wszelkie inne zadania należą do fachowców, którzy mogą nawet dobrze pisać, ale którzy pisarzami w tym sensie, w jakim byli nimi Grecy i Szekspir, nigdy nie będą.

CO MASZ W SWYM KOSZYCZKU, PISARZU?

Konwencji starych Greków nikt dotąd nie prześcignął. Przy pomocy kilku symboli grają najgłębszymi problemami ludzkimi wzruszając jak nikt przed nimi, ani po nich. Wszystko, co przyszło potem, ustępuje im przede wszystkim jako konwencja, nawet Szekspir, nawet powieść dziewiętnastowieczna, z której jesteśmy tak dumni. Wierzę głęboko, że pewnego dnia odwrócimy się od wszystkiego, by raz jeszcze prześledzić tajemnicę Sofoklesa i Ajschylosa. Wierzę, że chwila ta jest nawet bliska: świat zmałał, a niektóre symbole stały się zrozumiałe dla wszystkich ludzi na świecie.

Montaigne chce zrozumieć świat, Pascal siebie, Balzac społeczeństwo, Stendhal miłość, Musset miłość, Maupassant miłość, Lew Tołstoj historię Rosji, życie rodzinne podminowane przez sumienie, Dostojewski cierpienie, Zeromski Polskę, Szolochow Kozaków, Erenburg pokój, a ty, członku Związku Literatów Polskich z siedzibą na Krakowskim Przedmieściu? Gdzie i w czym ciebie szukać? Co masz w swym koszyczku śpiesząc o świecie na targ? Co sprzedajesz? Co masz do ofiarowania ludziom?

Jeśli nie potrafisz odpowiedzieć na to pytanie jednym słowem, jeśli sam ...e wiesz, co masz na swym straganie, jeśli jak straganiarka nie czujesz się w prawie zawołać: do mnie! do miodu!, to nie spodziewaj się, że ktokolwiek jutro zbliży się do twego kramiku!



DWA SPOTKANIA ZA OCEANEM

Fotomontaż A. Żytomirskiego

Głos z widowni

Nieczęsto się zdarza, by widz kinowy — pod wrażeniem filmu — chwycił za pióro. W takim wypadku jest to chyba — naszym zdaniem — dowód ogromnej wartości zarówno ideowej, jak i artystycznej filmu. Poniżej zamieszczamy list, który właśnie nadszedł do naszego działu „Świat Filmu”.

Opole, 5.XI.54 r.

Szanowny Towarzyszu Redaktorze!

Byłem ostatnio na polskim filmie „Pod gwiazdą frygijską”. Całość filmu sprawiła na mnie i na wszystkich moich znajomych wrażenie dodatnie. Wielu z nas pamięta te dni, i te wypadki, i sytuacje jakże podobne. Mnie szczególnie podobały się fragmenty grane przez Broncię, gdyż z takich jak ona wyrastały w późniejszym okresie działalność GL, AL, ZWM i wielu dzisiejszych oddanych naszej sprawie towarzyszy. Film ten jest filmem bardzo realnym i b. dobrze, że nasza kinematografia zrealizowała film przypominający naszemu — zbyt szybko zapominającemu i chętnie narzekającemu — społeczeństwu, jakie wiedli ludzie życia przed wojną.

Ale i ten film wg mnie nie ustrzegł się przed błędami. Jest np. w filmie moment, kiedy zbudowanej barykady bronią robotnicy i naciera na nich rezerwa policji z Gołędzinowa. W zasadzie w tym momencie nie ma tam żadnego dialogu. Podbudowę tego momentu daje muzyka, która wydaje mi się zbyt nieśmiała, zbyt cicha. Ta muzyka nic nie mówi, nie tworzy nastroju, a można było przecież dać coś potężniejszego, coś co przemówiłoby zamiast ludzi. Ona nie pomaga zrozumieć ważności momentu, a byłoby to b. pożądane. Nie wiem, jak się na to zapatruje reżyser i kompozytor.

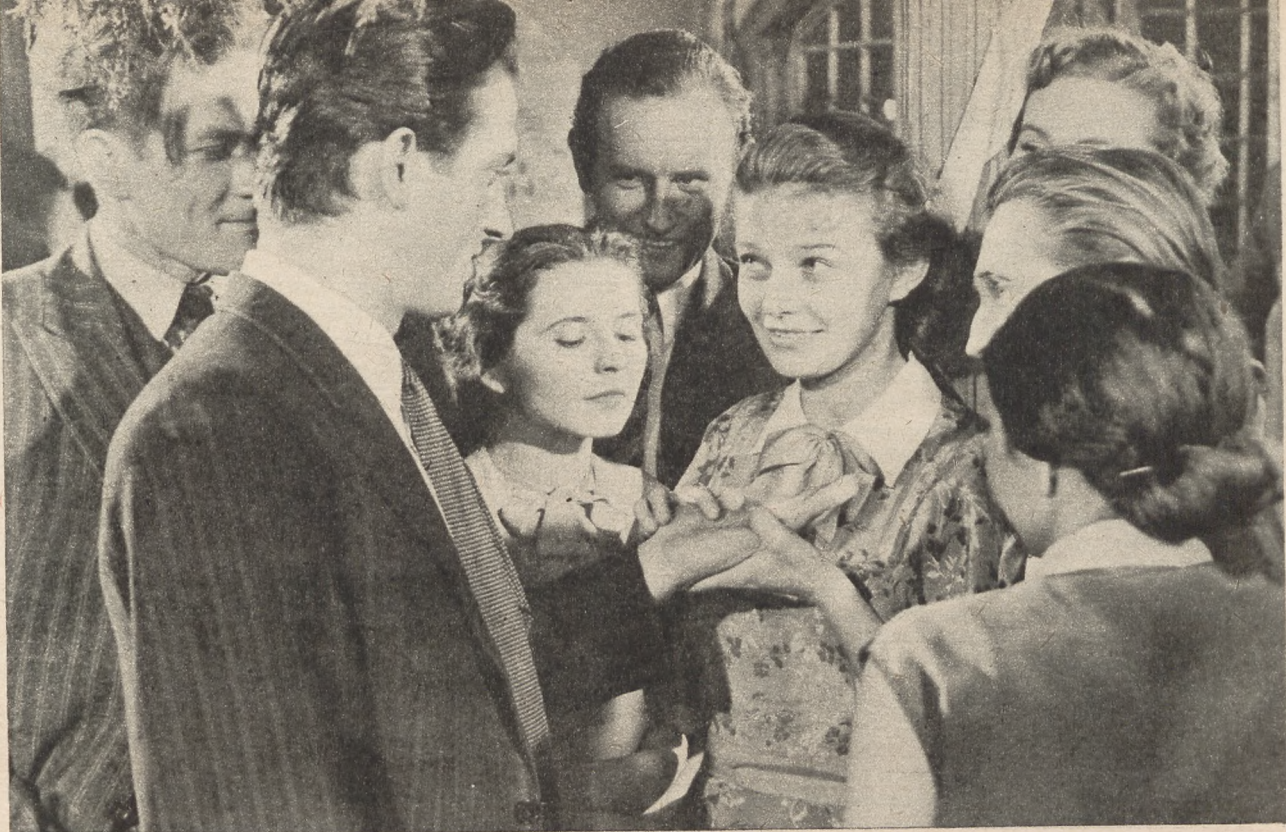
Również i druga sprawa, którą poruszał już J. Szelaż w jednym z ostatnich numerów „Świata”. Chodzi mi o moment aresztowania Madzi i o wyjazd Szczęsnego do Hiszpanii. Aresztowanie odbywa się całkowicie wg „przepisów” przedwojennej policji, ale zawiadomienie Szczęsnego jest niepewne, jakby ten zawiadamiający obawiał się paniki wśród strajkujących, a tego nasi robotnicy się nie bali. To samo Szczęśny; dopiero po wyjściu z seansu, w dyskusji, doszliśmy do tego, że on jedzie jednak do Hiszpanii. Nie wiem dlaczego reżyser nie chciał tego otwarcie powiedzieć. Czy myślał, że nasz widz powinien o tym sam dokładnie wiedzieć? A wydaje mi się, że powinniśmy na razie tworzyć filmy, które by naszemu widzowi możliwie jak najwięcej pokazały, aby miał on pełny temat do dyskusji, a nie niejasne strony, nad których wyjaśnieniem musi się zastanawiać.

Jeśli moje krótkie uwagi okażą się słuszne, to się b. cieszę.

Przy okazji jeszcze jedno: mieszkam w Opolu; miasto wojewódzkie, prawie 50.000 mieszkańców. Gdyby połowa z nich tylko chciała iść do kina, to jeden film, licząc po trzy seanse dziennie, musiałby być grany bez przerwy przez dwa tygodnie, a co by wtedy robili inni, którzy go już widzieli? Przyjdźcie tow. Redaktorze, a zobaczycie, co się u nas dzieje przed kinem! Błagam, niechże wybudują choćby jeszcze jedno kino!

MIROSŁAW RÓŻAŃSKI

Opole



JÓZEF NOWAK (SZCZĘSNY) I LUCYNA WINNICKA (MADZIA) W FILMIE „POD GWIAZDĄ FRYGIIJSKĄ”

GWIAZDY TALENTU, PASJI, ODWAGI

JERZY PIÓRKOWSKI

POD szczęśliwą gwiazdą narodził nam się nowy film Kawalerowicza. Oby tylko jej prawdziwe światło dojrżeli wszyscy zainteresowani naszą sztuką filmową ludzie. Bo widz kinowy dojrzał już blask smutnej miłości Szczęsnego i Madzi. Świadczy o tym nabite sale kinowe. A przecież film to niełatwy, film to dający dużo do myślenia. Wiele już słów prawdziwych, choć może czasami powierzchownych, napisano o tym filmie. Nie chciałbym ja tutaj pisać koślawym piśmem spóźnionej laurki. Nie o to zresztą chyba jego nader utalentowanemu twórcy chodzi. Chodzi chyba o to przede wszystkim, aby uczyć się na własnych osiągnięciach i niedomaganiach. Z tą myślą pragnąłbym podzielić się i swoimi myślami.

„Pod gwiazdą frygijską” jest filmem o miłości Madzi i Szczęsnego. Można by tutaj posłużyć się niełatwą analogią z filmem De Sica „Rzym godzina jedenasta”. Oba filmy aż nabrzmiewają tym wielkim ludzkim uczuciem. W obu filmach miłość ta jest pokazana czysto i pięknie i nie ma w sobie nic z sentymentalnego banału. W tym właśnie fakcie kryje się źródło zwycięstwa ideowo-artystycznego obu filmów. Naturalnie, inne jest ich tło historyczne. Bohaterom De Sica drogę do szczęśliwej miłości zagraża szlaban niesprawiedliwego ustroju społecznego, panującego we współczesnych Włoszech. Madzia i Szczęśny przeżywają całkiem inne rozterki. Życie ludzi konspiracyjnych, ściganych, nie pozwala w pełni zaspokoić ich osobistych uczuć. Przynależność do rewolucyjnej partii, walka w jej szeregach — oto źródło borykań się, walki z samym sobą i Madzi i Szczęsnego. Bo oni właśnie z tym swoim uczuciem walczą i może właśnie dlatego, że rozumiemy sens tego wyrzeczenia, jest ono tak czyste i wzruszające. A rezultat? De Sica wygotował w rezultacie wstrząsający akt oskarżenia przeciwko ustrojowi społecznej krzywdy, Kawalerowicz stworzył film niekłamnie afirmujący ludzi Komunistycznej Partii Polski.

Losy bohaterów filmu de Sica przekonują nas bowiem, że między ludzkim pragnieniem lepszego ludzkiego życia a warunkami bytowania we współczesnych Włoszech, otwiera się przepaść, albo, jak byśmy uczenie powiedzieli — konflikt antagonistyczny.

A jak jest z miłością Szczęsnego i Madzi? Jakaż jest szarpiąca ich oboje rozterka? Sprawa zdawałaby się jasna: praca nielegalna — szczęście osobiste. Kawalerowicz jest odważny, nie lakieruje rzeczywistości. Film mówi wyraźnie: tak, służba w szeregach rewolucyjnej partii wymaga wyrzeczeń osobistych, tęsknoty, rozstań i niepokojów człowieczych. Ale film Kawalerowicza pokazuje, że między walką w szeregach partii a pełnym zaspokojeniem osobistego życia tkwi konflikt bolesny, szarpiący człowieka, ale — jak byśmy znowu uczenie powiedzieli — nieantagonistyczny. Że nie ma innej drogi wyjścia z panującego zła jak tylko właśnie ta, po której idą Szczęśny i Madzia zapatrzeni i zakochani w sobie i odwracający się od „astrów-plastrów”, od

gniazdka osobistego szczęścia nie z pogardą, ale właśnie z niekłamnym bólem ludzkiego serca. I to jest chyba najistotniejsze i najpiękniejsze w filmie Kawalerowicza. Potrafi przy tym tak prawdziwie i drapieżnie pokazać kraj rządzony niesprawiedliwie, że rozumiemy doskonale, że Szczęśny i Madzia inaczej ze swoją miłością postąpić nie mogli. Aprobujemy ich postępowanie w zupełności. I na tym właśnie chyba polega istota wychowawczej roli filmu.

Jest w filmie Kawalerowicza wiele scen przepięknie zagranych i wyreżyserowanych. Ot, chociażby dla przykładu pamiętna scena rozmowy Olejniczaka ze Szczęsnym przy ognisku. I dialog bardzo szlachetny, i nastrój wydobyty po mistrzowsku. A przecież osobiście odczuwałem silnie deklaratywność słów Olejniczaka, choć były i z wielkim kunsztem wypowiedziane.

Dlaczego?

Wypada tutaj z kolei zastanowić się nad źródłem niedostatków filmu. Pozwolę sobie na twierdzenie pozornie paradoksalne. Otóż wydaje mi się, że źródłem tych niedomagań filmowych jest pierwowzór literacki: powieść Neverlego. Jest to zresztą sprawa ogólniejszej natury: na naszych ekranach mieliśmy ostatnio trzy adaptacje filmowe wybitnych naszych powieści, napisanych przez współczesnych pisarzy (obok powieści Neverlego — „Piątka z ulicy Barskiej” i „Uczta Baltazara”). Można by się więc w oparciu o tak bogaty materiał pokusić o postawienie problemu: utwór literacki a jego adaptacja filmowa. Kiedyś po mistrzowsku z tej arcytrudnej sprawy wybrnęli bracia Wasiliewowie. Ich dzieło „Czapajew” było scenariuszo-utworem samoistnym, opartym raczej na motywach powieści Furmanowa. Wydaje mi się, że ta właśnie odwaga legła u podstaw sukcesu filmowego „Czapajewa”. Odwaga ta polegała na śmiałym i konsekwentnym wyborze, ograniczaniu — tym podstawowym prawie sztuki.

Kawalerowicz nie przewyciężył do końca ilustratywności filmu w stosunku do jego pierwowzoru literackiego. I w tym tkwi przyczyna dającego znać o sobie gadulstwa w filmie, braku konsekwencji linii dramatycznej. Wydaje mi się, że Kawalerowicz rozumie tę słabość scenariusza, zrodzoną pod urokiem wielkiej powieści. „Celuloza” i „Pod gwiazdą frygijską” wyreżyserowane są z równą pasją niepospolitego artysty. Niewątpliwie jednak „Pod gwiazdą frygijską” jest filmem lepszym właśnie dzięki poważnemu wysiłkowi twórców, aby filmowi nadać jasność dramatycznej budowy.

Film Kawalerowicza, obok filmu Munka i Lesiewicza „Gwiazdy muszą płonąć” — jest najciekawszym osiągnięciem polskiej kinematografii. Spotykają się — co za zaszczyt dla ich twórców! — i z ostrymi głosami sprzeciwu, są przyczyną myślowego fermentu. Taka jest rola wszystkich wybitnych dzieł.

Nie jest bynajmniej frazesem przypominanie, że zrodziła je oprócz talentu wielka pasja ideowa i odwaga. Te gwiazdy płoną coraz jaśniejszym blaskiem nad całym naszym życiem.

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZĄ

— DWIE BUDOWLE — DWA TERMINY —

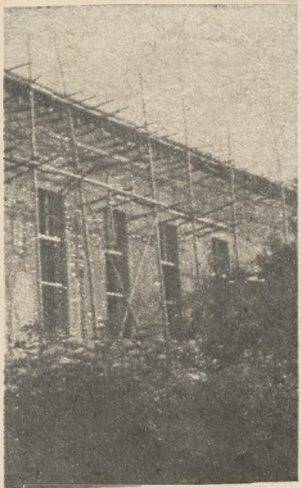
W powiecie kwidzińskim Powiatowe Przedsiębiorstwo Budowlane podjęło się m. in. dwóch prac: budowy wozowni i warsztatu reperacyjnego w gospodarstwie Bedrony oraz przebudowy Powiatowego Do-

mu Kultury w Kwidzynie. Pierwszą — wykonano w rekordowym czasie, druga natomiast od dwóch lat nie czyni żadnych postępów. Rusztowania wokół tej budowli już próchnieją, a mieszkańcy Kwidzyna nadal czekają na nowy Dom Kultury.

Kogo o to winit?

Zleceńdawcą Powiatowego Przedsiębiorstwa Budowlanego jest Wojewódzki Wydział Kultury i Powiatowa Rada Związków Zawodowych.

A. Wysocki, Kwidzyna



dwóch lat na budowie nie się nie zmieniło.

PIĘKNE I UŻYTECZNE



Wyroby fajansowe z Włocławka.

We Wrocławiu otwarto pierwszą w kraju Ogólnopolską Wystawę Ceramiki i Szkła. Zgromadziła ona zarówno wytwory zakładów przemysłowych, jak i spółdzielni chałupniczych, dzieła poszczególnych artystów-ceramików, szkół plastycznych i garncarzy ludowych.

Na wystawie można obejrzeć

formy ceramiczne, stosowane w architekturze: ściany z kształtek szklanych, płytki okładzinowe, obramowania drzwi i okien, a nawet... płyty ceramiczne, pozwalające na bardzo ciekawe i efektowne rozwiązania wnętrza i wykończenia budynków.

Bogato są tu też reprezento-

Wśród leśnego uroczyska, wśród nadodrzańskich jezior w Osiecznicy koło Krosna, z dala od ludzkich siedzib założono kaczę fermę. Kierownikami i pracownikami fermy, a zarazem jedynymi mieszkańcami tej półdzikiej uroczyska są dwie młode dziewczyny.



Choć pusto, nie jest wcale smutno w Osiecznicy. Zosin repertuar wesółych piosenek jest niewyczerpany.

KANDYDAT FRANCISZEK KUJAWA

— Halo! Poproszę Wydział Personalny Ozorkowskich Zakładów Bawełnianych! Tow. Kujawa? Tu Ektaszewski! Ojciec Bronka. Chciałem wam podziękować za opiekę nad synem. Zrobiliście z niego porządnego człowieka!

Tow. Kujawa? Tu Kwaterunek Mieszkaniowy! Chcieliśmy was zawiadomić, że przyznaliśmy mieszkanie Litwinowiczowi, dozorca waszych zakładów. Teraz już chyba nie będziecie nas męczyć tą sprawą!

— Kierownik Kujawa? Tu inż. Fiałek! Prosiłście nas o zbadanie kotłów w szkole TPD. Byliśmy tam. Kotły słabo grzały, ponieważ kanały były zanieczyszczone. Naprawiliśmy. Dziesiątki podobnych telefonów otrzymuje codziennie Franciszek Kujawa, członek Kom. Sji Kulturalno - Oświatowej przy Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Ozorkowie.

Jako radny pracuje tow. Kujawa od powstania rad naro-

nych. Po raz pierwszy z pracą radnego zetknął się już w czasie wojny, kiedy na terenie Białegostoku, uwolnionego przez wojska radzieckie, wszedł do rad pracujących. Doświadczenia z tego okresu pomogły mu wiele w organizowaniu po wojnie pierwszych rad narodowych na terenie powiatu kutnowskiego.

Franciszek Kujawa jest jednym z najstarszych działaczy samorządowych na terenie województwa łódzkiego. Zwalczając zawsze biurokrację, formalny stosunek radnych do ludzi, w każdej sprawie widział żywego człowieka i interesował się jego warunkami bytowymi. Nie więc dziwnego, że zyskał uznanie i wdzięczność mieszkańców Ozorkowa i powtórnie został wysunięty jako kandydat do nowej rady.

Fr. Lewandowski, Łódź



Franciszek Kujawa

wane naczynia ludowe, wprowadzone już do handlu; stanowią one nie tylko estetyczną dekorację mieszkań, ale nadają się również do codziennego użytku. Ciekawe są też wyroby z masy, zwanej porcelitem, o wyglądzie i zaletach porcelany, a znacznie od niej tańszej.

Szkoda, że nie pomyślano dotychczas o nowych formach naczyń dla zakładów żywienia zbiorowego, po „macoszemu” potraktowano też ceramiczny przemysł pamiątkarski, a wyroby ze szkła, tzw. „kryształ”, aczkolwiek bardzo ładne, zbyt mało przystosowane są do użytku codziennego.

Są to jednak szczegóły. W sumie Ogólnopolska Wystawa Ceramiki i Szkła stanowił poważny przegląd osiągnięć artystycznych w tej dziedzinie i zaliczyć ją można do ciekawszych pozycji roku jubileuszowego.

A. Wądołowska, Wrocław

TU TAKŻE POTRZEBNE SĄ „GENERALNE PORZĄDKI”



Któręś dnia zabawa może skończyć się tragicznie.

Jako mieszkaniec Poznania bardzo się ucieszyłem przeczytawszy w dziale fotokorespondentów „Świata” notatkę o „przygotowaniach do Międzynarodowych Targów, które odbędą się wiosną przyszłego roku. Obawiam się jednak, że zapowiedziane „generalne porządki” ominą osiedle robotnicze na Dębcu, wybudowane w ostatnich latach.

W osiedlu tym, w odległości 30 m od wzorcowego przedszkola zakładów im. Stalina i bloków mieszkalnych, leży sta-

ry fort. Wyglądem swym nie tylko szpeci osiedle, ale zagraża zdrowotności i bezpieczeństwu jego mieszkańców, zwłaszcza dzieci chętnie bawiących się w pobliżu fosy. Fort jest schroniskiem dla szczurów, a fosa wypełniona bagnistą i zanieczyszczoną wodą — wylegarnią komarów.

Jeśli dotychczas tego nie zrobiono — to może przynajmniej z okazji Targów teren będzie w końcu uporządkowany.

Br. Gnebel, Poznań

ROŚNIE NOWY PARK



Już lalem będzie można schronić się tutaj przed żarem słońca.

„Wyrosły” już kiedyś w ciągu paru dni stare, 30-letnie drzewa na trasie W-Z, później na MDM, powtarza się to znowu w otoczeniu Pałacu Kultury i Nauki.

Dotychczas posadzono już 590 drzew (z przewagą lip), przywiezionych ze Szczecina i Łodzi. W ziemi drzewa będzie się przywozić już z mniejszej odległości, bo z podwarszawskiego Miedzeszyna.

Już w roku 1955 — jak głosi Program Wzrostu Frontu Narodowego — na terenie olczającym Pałac Kultury wyrośnie park, złożony ze starych drzew i tysięcy krzewów.

K. Kulicki, W-wa

DZIEWCZĘTA Z „KACZEJ PUSTELNI”

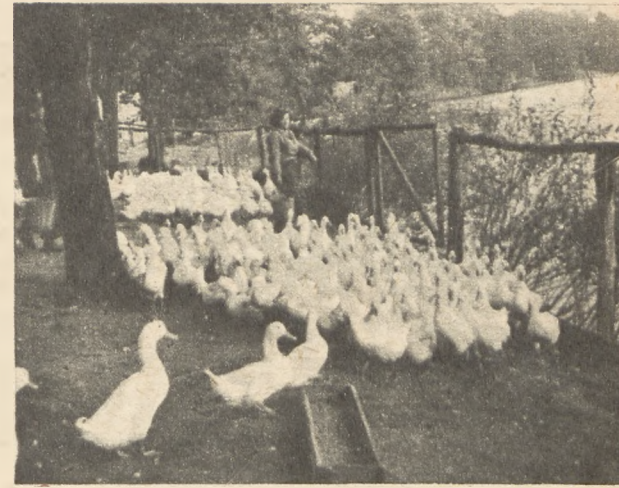
okolice) dostarczyły do dalszej hodowli 5.000 sztuk kaczek dla zespołu rybackiego w Miliczu, woj. wrocławskie.

W czasie lata kaczki hoduje się w Osiecznicy w specjalnych domkach na wodzie. Są tam bezpieczne, nie doblora się do nich lisy, które niemało szkód poczyniły w kaczycach fermach budowanych na lądzie. Chów w nawodnych kacznicach przynosi jeszcze jedną dodatkową korzyść: nie zjedzone przez skrzydlatą czeredę resztki paszy wrzuca się po prostu do wody, gdzie z zachwytem przyjmują ją karpie i okonie. W ten sposób ryby są syte i kaczki całe.

Tekst i zdjęcia: K. Baranowski



Dzielne dziewczęta nie boją się pracy. Irena kosi, Zosia zbiera zielonkę.



— Taś, taś, taś! — z nabrzeżnych zarosli jeziora sypie się białe stado.

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

SKŁADNIKI ZASTĘPCZE

Fotoamatorzy, którzy zestawiają sami różne roztwory chemiczne służące do obróbki laboratoryjnej negatywów i pozytywów, częstokroć mają wiele kłopotów z nabyciem licznych składników chemicznych. Nieraz brak jakiejś minimalnej ilości jednego ze składników zmusza do rezygnacji z przygotowania recepty. W wielu jednak wypadkach daną substancję można zastąpić inną, nie zmieniając wcale działania roztworu, ściśle przestrzegając trzeba tylko przy tym użycia odpowiedniej proporcji składnika zastępczego.

Niedawno w odpowiedziach naszego działu obiecaliśmy wydrukować tabelkę użycia składników zastępczych. Ponizej zamieszczamy takie zestawienie, opierając się na dwóch znanych, a trudno dziś osiągalnych podręcznikach fotograficznych — „Die Neue Photo-Schule” H. Windisch i „Fotorecepty” dr A. Lewandowskiego.

Wszystkim amatorom własnoręcznego przygotowywania roztworów fotograficznych podajemy do wiadomości, iż za granicą ogół fotografów coraz powszechniej stosuje kąpiele gotowe, kupując fabrycznie przygotowane wywoływacze różnych rodzajów, utrwalacz, osłabiające i wzmacniacze, rzadko jedynie zestawiając kąpiele o specjalnym tylko zastosowaniu. U nas jednak, dotychczasowe wyroby krajowe Zakładów Fotochemicznych nie grzeszą szerokim wyborem i... jakością. Zwłaszcza jakość wywoływaczy do papierów, zarówno „uniwersalnego” jak i „kontrastowego”, pozostawia wiele do życzenia, szczególnie jeśli chodzi o szybkość ich pracy, trwałość, wydajność i krycie. Brak stanowczo silnie kryjącego, dającego głęboką czerń wywoływacza do papierów bromowych. Wywoływacz drobnoziarnisty do filmów powinien mieć podany skład, gdyż nabywca nie orientuje się, czy kupuje wywoływacz przygotowany wg recepty „D-23”, czy też „D-76”. Ten ostatni nasuwa znowu wątpliwości, czy jest to wywoływacz boraksowy z kwasem borowym, czy bez, i w jakich proporcjach zawiera on obte substancje, decydujące o mniejszych lub większych kontrastach negatywu.

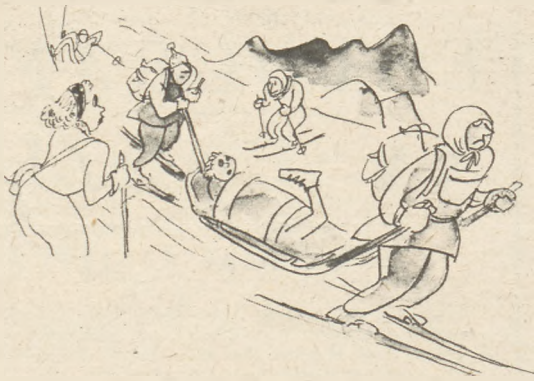
TABELKA SKŁADNIKÓW ZASTĘPCZYCH

1 g węglanu sodu bezwodn.	odpowiada	2,8 g węglanu sodu krystalicznego
1 g węglanu sodu krystal.	„	0,36 g węglanu sodu bezwodnego
1 g węglanu sodu bezwodn.	„	1,3 g węglanu potasu
1 g węglanu sodu krystal.	„	0,48 g węglanu potasu
1 g węglanu potasu	„	0,77 g węglanu sodu bezwodnego
1 g węglanu potasu	„	2,1 g węglanu sodu kryst.
1 g siarczynu sodu bezwodn.	„	2 g siarczynu sodu kryst.
1 g siarczynu sodu kryst.	„	0,5 g siarczynu sodu bezwodnego
1 g siarczynu sodu kryst.	„	0,4 g pirosiarczynu potasu + 0,22 g węglanu sodu bezw. albo 0,4 g kwasnego siarczynu sodu + 0,22 g węglanu sodu bezwodn.
1 g siarczynu sodu bezwodn.	„	0,8 g pirosiarczynu potasu + 0,45 g węglanu sodu bezwodnego albo 0,8 g kwasnego siarczynu sodu + 0,45 g węglanu sodu bezwodnego.
1 g bromku potasu	„	0,87 g bromku sodu, albo 0,82 g bromku amonu
1 g rodanku potasu	„	0,78 g rodanku amonu
1 g rodanku amonu	„	1,28 g rodanku potasu

1950 -	385
1951 -	575
1952 -	980
1953 -	950
1954 -	1080



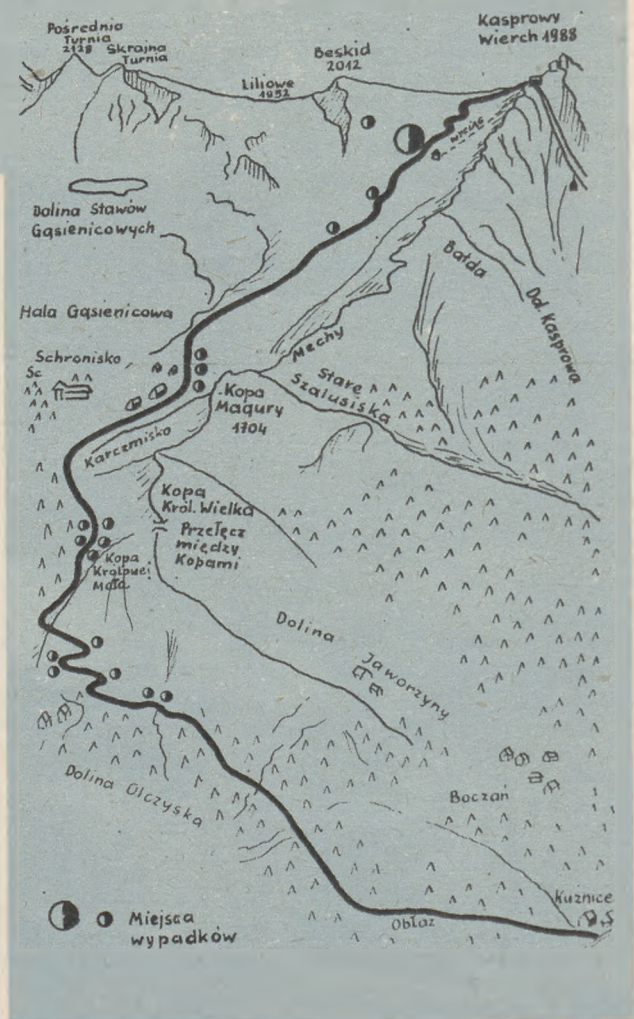
Dr Bocheński twierdzi, że przeciętna kuracja wymaga sześciu tygodni. Prosimy pomnożyć te 42 dni



Zdania znawców są podzielone. Jedni mówią o lekomyślności, drudzy o braku doświadczenia. W rzeczywistości jedno łączy się z drugim. Człowiek, który wie-



W turystyce narciarskiej ilość nieszczęśliwych wypadków jest niewielka; jednak Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze pragnie zmniejszyć do mi-



Wszystko to jednak nie wystarczy, jeśli sami narciarze i przyszli adepci sztuki jeżdżenia na nartach nie będą pamiętali o podstawowych założeniach, do których należy dobre opanowanie jazdy, ćwiczenia kondycyjne, odpowiedni sprzęt, znajomość warunków górskich i... zrezygnowanie z lekkomyślnej brawury, prowadzącej niejednokrotnie nie tylko do przedwczesnego zakończenia kariery sportowej, ale i długotrwałego kalectwa.

TADEUSZ MALISZEWSKI





OBRONCY SPARTAKA, PARCZYN I BASZASZKIN, ZDAŻYLI W OSTATNIEJ CHWILI ZLIKWIDOWAĆ PRZEBÓJ ŚRODKOWEGO NAPASTNIKA — HOLTONA.

25:9

Kontakty piłkarzy radzieckich z ich kolegami na zachodzie Europy stają się coraz żywsze i częstsze. Tej jesieni futboliści ZSRR rozegrali szereg spotkań z czołowymi zespołami Francji, Belgii, Szwajcarii, a ostatnio Anglii. Drużyna moskiewskiego Spartaka odniosła wielkie sukcesy w Belgii, bijąc mistrza tego kraju Anderlecht 7:0 i czołową drużynę FC Liege 5:2; następnie Spartak udał się do Wielkiej Brytanii, gdzie wygrał z Arsenalem 2:1, lecz uległ mistrzowi Anglii — Wolverhampton Wanderers 0:4.

We Francji Dynamo z Moskwy odniosło trzy zwycięstwa: w Bordeaux zwyciężyło Girondins 3:0, w Marsylii zespół z Lille 2:1 i wreszcie w Paryżu koalicję — Reims-RC Paris 1:0. W spotkaniach rozegranych w Szwajcarii dynamowcy pokonali kombinowany zespół Grashoppers-Lausanne w stosunku 4:0 i zremisowali w spotkaniu rewanżowym 1:1.

W sumie piłkarze dwóch drużyn moskiewskich rozegrali 9 spotkań, uzyskując 7 zwycięstw, jedną porażkę i jeden remis. Ogólny bilans bramkowy 25:9 na korzyść piłkarzy radzieckich.

Zamieszczamy obok zdjęcia agencji Keystone z meczu Spartak — Arsenal.

Groźny moment pod bramką Arsenalu. Napastnik Paramonow i pomocnik Netto przedarli się przez obronę i szykują się do strzału. Bramkarz Arsenalu Kelsey wybiegiem stara się uprzedzić akcję spartakowców.



Przed meczem Spartak-Arsenal na boisku Highbury kapitanowie obu drużyn wymienili pamiątkowe upominki.



i Mnie rozpamiętało chwane to było a ja
 nie to a skrzęta grze, starał się i nie
 wypiął się co moją. Wymyślił wiadomości
 że dla mnie bardzo ważne. Chodźcie
 i zjemy oichami; godnych uwagi. Zosta-
 nęła zadowolona to zbierał. Pamiątkę wa-
 ten ul oraz dla siebie. Wzrost obmy-
 wała ile było. Miał. A teraz
 uważaj sobie potaję ci. Wzrost
 w jaki sposób moją te wiadomości
 gwarantować. Pamiątkę ze względu na
 twoją bezpieczeństwo nie chcę. Aż
 rozpamiętała zwała a harmonie. Wła-
 ściwie byłoby to bezpieczeństwo. Przynaj-
 do mnie. Zafęgam ci. Aż
 tajemnego papieru. Podaje ci. Jedną
 zinną sposób. Wzrost.
 na zafęgam. Wzrost.
 Wzrost, się i. Wzrost o mnie
 Wzrost. Wzrost.

NOWE KSIĄŻKI

Władysław Dunarowski — **LATO W GORCACH. PRZYGODY MAŁGORZATY.** — Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Debiutem powieściopisarskim Dunarowskiego była powieść „Ludzie spod miedzy” — wydana tuż przed wojną w roku 1939. Tematem jej były losy biedoty chłopskiej w obszarnej Polsce. Na przestrzeni X-lecia Polski Ludowej ukazało się 5 nowych jego powieści, w których autor pozostaje wierny tematyce wiejskiej. **LATO W GORCACH** — to historia strajku chłopskiego w roku 1937 w Kasince Małej w powiecie Limanowa. Najnowsza powieść — **PRZYGODY MAŁGORZATY** — osnuta na tle przeżyć rodzinny małorolnej chłopki, stanowi obraz walk klasowych na wsi polskiej w okresie kilkudziesięciu ostatnich lat. Obecnie pisarz przygotowuje tom opowiadań dla młodzieży. Tematem ich są przede wszystkim aktualne przemiany naszej wsi.

Natalia Rolleczek — **DREWNIANY ROZANIEC** — Iskry. Dobrze się stało, że wznowiono tę książkę, zawierającą 3 doskonałe opowiadania. Niewiele bowiem ukazało się u nas publikacji, które z taką ostrością demaskują owe pseudofilantropijne, „dobroczynne” machinacje rozlicznych „bractw”, „stowarzyszeń” i „kółek”, tworzących i kierowanych w czasie dwudziestolecia międzywojennego przez zakonnicę i rozmaite „panie z towarzystwa”. Autorka z talentem ukazuje mechanikę działania bezdusznej dewocji, ryjącej na młodych, nie ukształtowanych jeszcze charakterach dzieci piętno, ciężkich skrzywień psychicznych.

Iłja Erenburg — **DZIEŃ WTÓRY** — Iskry. Przekład Aleksandra Wata. Powieść ta powstała w latach 1932-33 — pod bezpośrednim wrażeniem pobytu pisarza w Kuzniecku — jednym z centralnych obiektów pierwszej pięcioletki. **DZIEŃ WTÓRY** stał się w twórczości Erenburga punktem zwrotnym ku współczesnej tematyce radzieckiej. Czytelnik znajdzie tu pasjonujący opis pełnych patosu zmagania budowniczych Kuzniecka, procesy kształtowania się nowych ludzi, nowej socjalistycznej moralności, nowych kadr radzieckiej inteligencji.

Arystofanes — **PTAKI** — przekład z greckiego J. Jedlicza — PIW. Zgodnie z apelem Światowej Rady Pokoju cała postępową ludzkość obchodzi w tym roku 2400-ną rocznicę urodzin genialnego komediopisarza starożytnej Grecji. Arystofanes — nieprzejednany wróg awantur wojennych, wszelkiej podłości i niesprawiedliwości — osnuł treść komedii **PTAKI** wokół działań dwóch Ateńczyków, którzy mając dość swarów, procesów i wszelkiego typu lajdactw — postanowili stworzyć wśród ptaków idealne państwo. Spośród zachowanych komedii Arystofanesa — **PTAKI** wyróżniają się zwięzłą budową dramatyczną i realistycznym rysunkiem postaci.

Nowe polskie wydanie zaopatrzył obszernym wstępem prof. dr Kazimierz Kumaniecki.

Bertolt Brecht — **WIERZYSZE WYBRANE** — PIW. Twórczość znakomitego współczesnego pisarza niemieckiego znana jest nam przede wszystkim z jego powieści i dramatu. Obecnie czytelnik polski ma możliwość poznać Brechta również jako poetę. Utwory zawarte w **WIERZYSZE WYBRANE** — pochodzą z różnych okresów 35-letniej twórczości pisarskiej autora. Są tu ballady i pieśni, utwory liryczne, wiersze okolicznościowe, satyra. Wyboru wierszy dokonał Lech Pijanowski, autorem polskich tłumaczeń są: W. Broniewski, J. Bocheński, S. J. Lec, W. Lewik, A. Marianowicz, L. Pijanowski, A. Sowiński, A. M. Swinarski, W. Wirpsza i S. Wygodzki.

PEWNEJ NOCY — Nowele chińskie z lat 1911-1953. Opracowali O. Wojtasiewicz i T. Żbikowski — przedmowa prof. W. Jabłońskiego — Czytelnik.

Zbiór kilkunastu opowiadań nazwać by można małą antologią noweli chińskiej od rewolucji burżuazyjnej, aż po budowę nowych Ludowych Chin. Z opowiadań wylania się realistyczny obraz życia ludu chińskiego poprzez lata walki aż do zwycięskiego jej zakończenia. Szczególnie ostro ukazany jest problem strasznego ucisku kobiet, który zniweczony został dopiero przez rewolucję ludową.

SWIAT

o tym wie!

NOWOŚCI TELEWIZJI

Zachodnio - niemieccy przedsiębiorcy telewizyjni czuli od dłuższego czasu piekącą zazdrość. Kiedy ich zza Oceanu zarabiali wspaniale (na ludzkiej głupocie) pokazując w studio telewizyjnym szympansa ochrzczonego nazwiskiem Fred Muggs. (Pisałszy o nim niedawno w niniejszej rubryce). Postanowiono znaleźć coś „czego jeszcze nie było”.

I rzeczywiście. Właściciele stacji telewizyjnej w Hamburgu po długich poszukiwaniach wpadli na pomysł: znaleźli oni

dwa żółwie, które wytresowano w ten sposób, iż reagowały one (w sposób wprowadzając swoisty) na muzykę. Żółwie ubrano więc w spódniczki i buciki z papieru i kazano im tańczyć boogie-woogie (w żółtym tempie) przed obiektywami telewizyjnych aparatów. Obecnie żółwie stały się już „gwiazdami”, których występy nadawane są na sieci siedmiu stacji z centralą w Hamburgu.

Rzeczywiście, tego jeszcze nie było...



PERŁOWY KRÓL

Przed kilku tygodniami zmarł w sędziwym wieku 96 lat Kokichi Mikimoto, słynny japoński król perł hodowlanych.

Mikimoto był za młodu wędrownym sprzedawcą, umarł zaś jako jeden z najbogatszych ludzi Japonii. Majątku swego dorobił się dzięki wynalazkowi, który polegał na wsunięciu drobinki masy perłowej między skorupki trzyletniej ostrygi. Obecnie jest źródłem podrażnienia i ostrygi stara się je usunąć, pokrywając je ziarnko masy szklanej, która ma taki sam wygląd, kształt i składniki jak perła naturalna.

Na pozór wydawało się to może procederem niezmiernie łatwym. Jednakże Mikimoto miał swoje tajemnice, których, jak dotąd, nikt nie zdołał podpatrzeć, choć chętnie i bardzo gościnnie przyjmował on wszystkich zwiedzających, pokazując im swoje hodowle ostryg. Mikimoto utrzymywał zawsze, że odkrycia dokonał w czasie snu, kiedy ukazała mu się przepiękna naturalna perła, a jakiś tajemniczy głos zdradził mu sekret hodowli. Niezależnie jednak od tego, jakie były początki, Mikimoto hodował swoje ostrygi w morzu otaczającym głośną Wyspę Perłową w zatoce Ago. W morzu wokół wyspy spoczywa ponad 7 milionów ostryg. Kiedy jakaś ich grupa dojdzie do wieku 3 lat, nurkowie — zwykle kobiety — wydobywają je z dna morskiego. W laboratoriach odbywa się zabieg wstrzyknięcia pod skorupkę ziarnko masy perłowej, po czym ostrygi wracają na dno morza, gdzie spoczywają dalsze siedem lat. Wtedy już perły są dojrzałe. Nie wszystkie są jednakowo piękne, wystarczyło ich jednak, by uczynić Miki-

moto multimilionerem. Wartość rocznej produkcji wynosi 6 milionów dolarów. Z wdzięczności Mikimoto urządził kilka nabożeństw żałobnych za miliony ostryg, które „ofiara życia” zbudowały jego majątek. Król Perł zapowiadał kiedyś, że doprowadzi do tego, by każda kobieta na świecie miała perłowy naszyjnik. Z czasem jednak o tych planach zapomniał.



Z KRONIKI HISTERII ATOMOWEJ



Preparowanie „ofiary”

Pomysłowi przedsiębiorcy reklamowi w mieście Onley (USA) doszli do wniosku, iż oni, też powinni zarobić (przy okazji) na rozpętanej w Ameryce histerii atomowej. By reklamy „urządzeń atomowych” przynosiły odpowiedni skutek — rozumowali oni — należy zaopatrzyć je w zdjęcia, które wstrząsnęłyby czytelnikami.

W tym celu „reklamiarze” zaangażowali paru bezrobotnych, ofiarując im wcale okazałe honorarium. Przy zastosowaniu zaś paru tricków hollywoodzkich (krew, zniszczenie) zaangażowanego przekształcano w „ofiary atomową”. Błysk magnetyzacji — i powstawało „wstrząsające” zdjęcie „po wybuchu atomowym”, które widzimy poniżej.



Gotowe zdjęcie

STARA MIŁOŚĆ NIE RDZEWIEJE



Oddziały adenauerowskiego Wehrmachtu, tworzone pod amerykańską opieką, przyjmowały w swym gronie parę tygodni temu dostojnego gościa. Był nim członek nowego japońskiego sztabu generalnego, pułkownik Hirose, który odbył daleką podróż z

Japonii do Niemiec, by odnowić „stare braterstwo broni”. Na twarzy gościa (na zdjęciu pierwszy od prawej) maluje się zadowolenie. Przekonał się on bowiem, jak pisze zachodnio-niemiecki tygodnik „Deutsche Illustrierte”, iż w oddziałach „Grenzschutzu” znać jeszcze „stare pruskie chwytaki”.

W notatce, opatrzonej znanym tytułem „Stara miłość nie rdzewieje”, tygodnik powyższy pisze dalej: „Wehrmacht Blanka podniósł się z popiołów — byłby więc już czas na pertraktacje z Dalekim Wschodem...”

Pogrobowcom hitlerzemu znów śni się nowa „Oś Tokio-Bonn”. Warto jednak, by im się też przyśnił los „Osi Berlin-Tokio”.

Władysław Dunarowski — Lato w Górcach. Przekład Aleksandra Wata. Powieść ta powstała w latach 1932-33 — pod bezpośrednim wrażeniem pobytu pisarza w Kuzniecku — jednym z centralnych obiektów pierwszej pięcioletki. Dzień wtóry stał się w twórczości Erenburga punktem zwrotnym ku współczesnej tematyce radzieckiej. Czytelnik znajdzie tu pasjonujący opis pełnych patosu zmagania budowniczych Kuzniecka, procesy kształtowania się nowych ludzi, nowej socjalistycznej moralności, nowych kadr radzieckiej inteligencji.



Jak Wam się zdaje, drodzy Czytelnicy, jakie pytanie słyszy się teraz najczęściej w warszawskich sklepach tekstylnych?

— Wiemy, wiemy! „Proszę pani, czy nie ma flaneli?” Oczywiście, wszystkie Czytelniczki zgady. Wcale mnie to nie dziwi. Zdumiewające jest natomiast, że wszystkie wyraziły to pytanie w takiej samej formie. Bo proszę tylko zauważyć. Nie: „Proszę pani, czy JEST flanela?”, tylko: „proszę pani, czy NIE MA flaneli?”

Ta forma negatywna kryje w sobie założeń bogactwo treści. A więc smutne doświadczenia z poprzednich poszukiwań, rezygnację z poprzednią ostatnią odrobiną nadziei (wiem, że nie ma, no, ale może...) i dużo niedobrej złości.

Ta ostatnia ma swoje uzasadnienie. Bo, moi drodzy, przejdźcie się tylko po pedetach z cedetem na czele, po różnych sklepach MHD, ZSS itp. Co widzicie? Innowacje kretonów. Po prostu kretonowy szal. Oko bieleje, ile tu wzorów! A niektóre tak gustowne, że nie powstydziliby się ich najwytworniejszy francuski jedwab. Tylko brać i wybrać. Słowem, w sklepach włosna, w sklepach lato, upał, skwar. Taka włosna i takie lato, o jakich włosna i latem nawet się nie marzyło.

...A na dworze, niestety — jesień. Jej siostra zima zagląda do domów ludzkich i upomina: „Wioż dziecku flanelowy kuferek”, „uszuj mężowi flanelową pidżamę”, „spraw sobie ciepły flanelowy szlaf-roczek”.

Łatwo ci, zimo, mówić. Ale skąd ją wziąć, tę flanelę? Tania, ciepła, łatwa do prania, praktyczna? Znaleźć taką, to cud w biały dzień. A ta cienka, jednostronna flanelka, przeważnie w dziecięce wzory, którą teraz w sklepach sprzedają, grzeje akurat tyle co kreton, a po kilku praniach tak się kurczy i sztywnieje,

że nowa rzecz staje się niemal nie do użytku.

Oczywiście, są wyjątki i w rodzle niewieści. Te, które, jak to się mówi — „potrafią się zawsze urządzać”. Odwiedziłam wczoraj jedną taką znajomą. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu zastałam ją przy krojeniu pidżamy dla synka.

— Gdzież ty, kobieto, dostała taką piękną, miękką flanelę?

— Uśmiechnęła się filuternie.

— Nie gdzie, tylko kiedy. W czerwcu, moja złota. Trzeba mieć, widzisz, trochę życiowego sprytu. Flanelę kupuje się w czerwcu, bo wtedy jest jej ile chcesz. Natomiast kreton kupuje się w grudniu, bo wtedy jest największy wybór. Kiedy tego lata po raz pierwszy przyszedłam na plażę w Sopocie, habkom oczy wylazły na wierzch. „Gdzie pani tak śliczny kreton dostała?” A ja im to samo, co tobie: „nie gdzie, tylko kiedy!!!” Muszę Wam przyznać, że po tym wy-

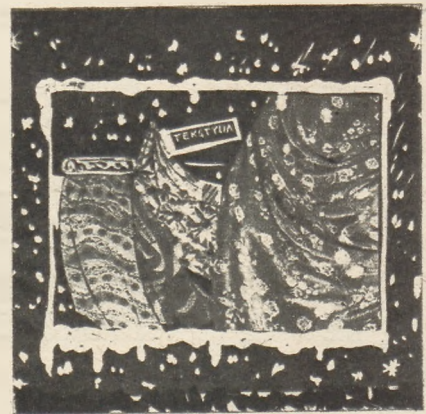
wodzie bardzo mi się zrobiło smutno. Postanowiłam zbadać tę sprawę od strony sklepów. Po drodze, myślałam: w czym u licha tkwi sek? Na całym świecie wystawy sklepowe zmieniają swe oblicze wraz z porą roku. We wrześniu znikają z nich jedwabie, kretony, tafty, woale i ustępują miejsca wełnom, trykotom, flanelom, suknom. Sweter zajmuje miejsce ażurowej bluzeczki, jesienka zastępuje prochowiec, zimowe obuwie przepędza do magazynów sandały, które cierpliwie czekają tam na lepsze dla nich czasy. A u nas inaczej. U nas na opak. U nas wystawy przez okragły rok monotonnie takie same, nudne i nieatrakcyjne, a w sklepach, jak wyżej. Latem flanela, zimą kreton, i da capo.

Pierwsza ekspedientka, którą zagadnęłam — w sklepie MHD na Nowym Świecie — użaliła się serdecznie.

— Powiedz Syrenko, jak ja mam plan wykonać? Same kretony. A kto dziś kreton kupuje? Wyjątki. Przez cały listopad nie dostaliśmy ani metra porządnej flaneli. Ciągłe nagabywanie w Centrali Tekstylnej, ale jak dotychczas tylko obiecuja, że może coś dadzą w grudniu...

W PDT na Jagiellońskiej zapobiegliwa urzędniczka usiłowała mi wytłumaczyć, że flanela nie może być w sprzedaży, ponieważ idzie do spółdzielni szycących konfekcję. To samo potwierdził kierownik kilku innych sklepów, którzy dawno już złożyli zapotrzebowania na flanelę i dotąd daremnie czekają. Nikt oczywiście nie umiał mi odpowiedzieć, dlaczego wyż. wzmiarkowane spółdzielnie nie zostały zaopatrzone w ten materiał przed sezonem.

W tym miejscu „śledztwo” przerywam. Ciąg dalszy pozostawiam niezliczonym dyrektorom od planowania, zaopatrzenia, kalkulacji itp., itd., którym w imieniu wszystkich warszawianek poszukujących flaneli proponuję spacer w kretonowych spodenkach (li tylko) z Grochowa na Okęcie lub, jeśli kto woli, odwrotnie.



ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NR 166, 168 I 169

Bikwadrat magiczny: Karataka (konar, Otaru, Narym, aryki, Rumia, arak, rasa, asan, kant).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 39(166) nagrody książkowe otrzymują: I. Mazurkiewicz — Gdańsk, H. Walkowski — Gorzów Wlkp., A. Poinc — Gostynin, P. Mrówczyński — Inowrocław, A. Pośpiech — Kielce, Z. Wilgocka — Krotoszyń, T. Kłys, W. Witosławski — Łódź, Z. Psarska — Nivka, G. Niedzielko — Oborniki Śląskie, T. Woźnicki — Olštyn, A. Januskiewicz — Otwock, A. Malasiewicz — Sopot, I. Filipiak — Toruń, J. Cymer, K. Kłys, J. Lange, M. Niedźwiecki — Warszawa, J. Guźlińska — Wolszmin, J. Wyszowski — Zakopane.

Synteza przyzówek. Poziomo: areal, por, error, amo, sol, gen. solo, Rewal. Etna,

zółć, ekran, atak, sto, ma, mam, Aar, ankra, lks, kleks, Pionowo: Tales, żuraw, yeb, Oka, ość, głos, smar, korweta, Opole, komis, wir, dra-ga, alasz, Melania, neon, arka, eta, Ira, zew, krata, krasa. Tygodnik „Świat” — Warszawa.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 41(168) nagrody książkowe otrzymują: H. Siuda — Białystok, H. Szreder — Bobrowko, pow. Mrą-gowo, R. Niewiadomska — Bytom, W. Buczyńska — Dą-browka, pow. Starogard, S. Cyganik, B. Danczowska, J. Sliwa — Kraków, K. Białczak — Łódź, I. Zajkowska — Olizki, pow. Białystok, E. Oswald — Poznań, E. Walczak — Siedlce, S. Stachowicz — Staliność, S. Jedliński — Tarnów, R. Goła-jewski, J. Nyrkowski, R. Spang, E. Staniszek, H. Zie-leniewska — Warszawa. H.

Popławski — Wrocław, F. Strykowski — Zarów koło Świdnicy.

Logogryf: Odbudowa Warszawy (obiektyw, dyskusja, Baltazar, univocus, dalmierz, operacja, Wasilków, aneg-doty)

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 42(169) nagrody książkowe otrzymują: S. Filipowicz — Białystok, B. Niewolkiewicz — Brzozów, W. Felczykowski — Garbatka, K. Radomia, E. Messner, B. Sieniewicz — Gdańsk, W. Adamowicz, J. Kosztyn — Gdynia, K. Jodko — Gorzów, O. Szczepanowicz — Kraków, K. Leonkiewicz — Lublin, E. Wołyński — Łask, Z. Graf — Łódź, A. Łopata — Nowy Targ, Z. Olszanowski — Odolanów, M. Dziurła — Oliwa, J. Rudz — Olštyn, B. Kamińska — Sopot, Z. Koc, W. Trojanowski — Warszawa, I. Bujak — Zakopane.

ZAGADKA REBUSOWA



Z podanego rysunku odczytać siedmioliterowy wyraz. Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązanie, rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

SZACHY

PARTIA NR 132

grana w XVII championacie ZSRR w roku 1949 w Moskwie

Obrona Gruenfelda

Białe: G. Lewentisz
Czarne: W. Smysłow

1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4 g7—g6 3. Sb1—c3 d7—d5 4. Sg1—f3 Gf8—g7 5. Hd1—b3 d5—c4 6. Hb3—c4 0—0 7. e2—e4 Sf6—d7 8. Gc1—e3 Sd7—b6 9. Hc4—b3 Sb8—c6 10. Wal—d1 Gc8—g4 11. d4—d5 Sc6—e5 12. Gf1—e2 Se5—f3+

Wymiana za uważana jest często za przedwczesną. Można grać od razu 12... Hc8 13. g2—f3 Gg4—h5 14. f3—f4 Gh5—e2 15. Sc3—e2 Hd8—c8

W partii Lillenthal—Bron-szejn (Sztokholm, 1948 r.) nastąpiło 15... h7 16. h4 c6 17. h5 c:d 18. h:g h:g 19. Gd4: i poważnymi groźbami. Posunięcie 15... Hc8 równie — jak widać z poniższego — kryje w sobie pewne słabości.

16. Wd1—c1! c7—c6 17. f4—f5! Sb6—d7 18. Wh1—g1 Kg8—h8 19. f5:g6 h7:g6

Nielepsze było 19... f:g 20. Sd4 Se5 21. f4 Sg4 22. Se6 S:e3 23. H:e3 Wf7 24. f5! z silnym atakiem.

Czarne zmuszone są przy-jąć ofiarę piona; grozi 22. Wh3+ Kg8 23. d:c b:c 24. W:g6

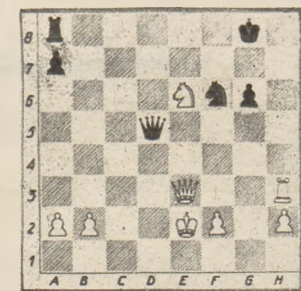
21... Sf6:e4 22. Wg1:g6! f7:g6 23. Wc3—h3+ Kh8—g8

24. d5:c6+ e7—e6 25. c6:b7 Hc8—c6 26. b7:a8H Wf8:a8

W rezultacie tej kombinacji białe wygrały piona, zachowując w dalszym ciągu atak.

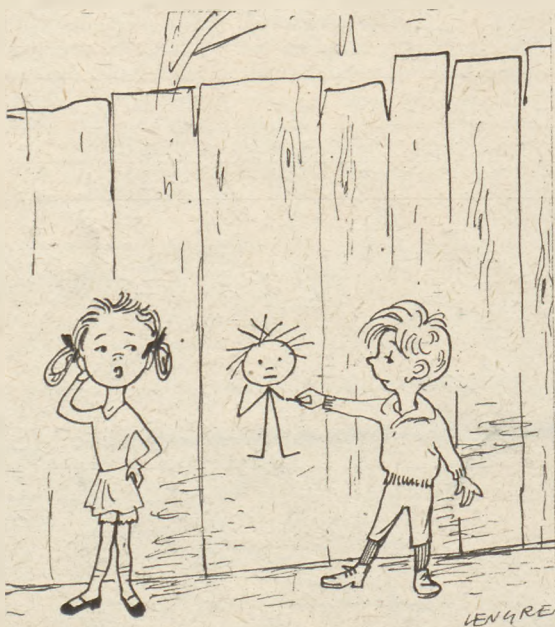
27. Gd4:g7 Kg8:g7 28. Hb3—e3! Se4—f6 29. Se2—d4 Hc6—h1+ 30. Ke1—e2 Hh1—d5 31. Sd4:e6+ Kg7—g8

Czarne na pozór uszły bezpośrednim niebezpieczeństwem, a nawet grozą wygraniem figury przy pomocy 32... We8



32. Wh3—h8+!
Nowa nieprzyjemność: wieży nie wolno brać, gdyż grozi po tym mat w dwóch posunięciach (33. Hh6+ itd.) 32... Kg8—f7 33. Se6—g5+ Kf7—g7 34. Wh8:a8 i czar-ne poddały się, gdyż po 34... H:a8 35. He7+ tracą skoczka.

LENGREN



— Uczesanie zrób mi takie, jak ma Nina Andrycz w „Uczcie Baltazara”.

„Problem to niestychany”

W odpowiedzi na artykuł J. Waldorffa pt. „Problem obrotowy” redakcja nasza otrzymała wiele listów nadesłanych przez Czytelników. To dowodzi, jak żywo społeczeństwo interesuje się sprawą muzyki mechanicznej i jej wpływow na upowszechnienie kultury muzycznej w Polsce. Aleksander Gwiniński z Olsztyna pisze:

„Wydało mi się, że rola płyty gramofonowej jako nauczyciela języków obcych, nauczyciela słuchania muzyki i wielu innych pożytecznych wiadomości jest zupełnie niedoceniona i sprowadza się do charakteru usługowego w zakresie tańca. Adapter + kilka płyt = bal.

Nieprędko zapomnę wczasy zatrutowane trzy razy dziennie (w stołówce, świetlicy i na plaży) melodią „Kwiat paproci — pełna dobroci itd.” oraz szeregiem innych bzdur, z których najbardziej natrętna i irytująca utwórka mi w pamięci: „Problem to niestychany, sam nie wiem co i jak, jestem w tobie zakochany i słów mi brak”.

Aby przeżyć obłęd wiolonkiowo-marynikowy, trzeba mieć dużo zdrowia!... — W PDT i MHD, zamiast np. łańcuchów do SHL'ek, widuje się stopy płyt z muzyką i śpiewkami na poziomie „Problemu niestychanego”.

Ludzie chcą tańczyć i potrzebują do tego płyt z muzyką taneczną. Jeśli do tańca, to niech gra Calmer czy Harald, czy kto tam chce i umie grać, ale po co zawsze ten idiotyczny refren, w wykonaniu paskudnego bezgłosia?...

Nie żądam od płyty z muzyką taneczną jakiejś ekstraklasy muzycznej i poetyckiej, ale trochę sensu i poprawności trzeba jednak wymagać. Napis wywieszony w publicznym miejscu musi spełniać warunki zakreślone przez gramatykę i zdrowy rozum. W przeciwnym razie odpowiednie władze każą go zdjąć. — Dla oka jest, dla ucha nie ma laski.

Samochodom nie wolno używać klaksonów i nie wolno jeździć bez tłumików motocyklom, ze względu na poszanowanie spokoju i ciszy. Wolno natomiast poutawiać głosniki gdzie się da i bombardować ludzkie uszy z sadyzmem posługując się płytami o jakich mówiłem wyżej.

Ta płytowa szmira słowno-muzyczna jest zastanawiająca tym bardziej, że np. z bibliotek bzdurę usunięto. Nikt nie liczył się z tym, że „Ordynat Michorowski” miałby wielu czytelników. W muzyce jest odwrotnie: ponieważ płyty z dobrą muzyką są „niechodliwe”, więc... wio koniku! z płytami „chodliwymi”!

Po co wysiłek szkół muzycznych, po co trud orkiestr symfonicznych, po co te miliony wydawane na krzewienie kultury muzycznej, jeżeli zaraz obok działa zaprzeczenie wszelkiej kultury muzycznej — głośnik psujący uszy tandeta!

Należy bardzo cieszyć się, iż produkcja płyt gramofonowych przeszła wreszcie pod nadzór Mln. Kultury. Dziwię się jednak, że istniały dotychczas przeszkody techniczne przy wykonywaniu płyt z dobrą muzyką, a nie było przeszkód w utrwalaniu szmiry”.

Od innej strony podchodzi do zagadnienia Zygmunt Wójcikowski z Radomia:

„Ktoś, kto powrócił z wycieczki do Związku Radzieckiego, długo i z zachwytem opowiadał o wielu wspaniałościach, i co charakterystyczne dla tego kraju, rzeczach nowych i wprost dla nas niezwykłych. Na przykład mówił o jednej z wysokogórskich części kraju, której mieszkańcy prawie że nie znają kolei żelaznej, w każdym razie zaś nie używają jej, natomiast często latają samolotami, środkiem lokomocji w tej okolicy popularnym, nieocenionym w miejscowych warunkach geograficznych. Mieszkańcy wspomnianej części Kraju Rad, zaniedbanej w czasie caratu, pozahawanej połączeń kolejowych — w socjalizmie z ekonomicznym rozmysłem przeskoczyli „okres panowania jeszcze kolei”, wkraczając od razu w epokę samolotu.

Wszystko to przyszło mi na myśl po przeczytaniu artykułu poświęconego „Problemowi obrotowemu”. Mowa w nim była o niewątpliwie ważnym zagadnieniu — o płycie gramofonowej, pośredniku muzycznym, spełniającym do-niosłą rolę w krzewieniu muzyki, jej upowszechnianiu, o co przecież nam tak bardzo chodzi. Szerzę uwag krytycznych w artykule i wnioski postawione przez autora skłonili mnie do zabrania głosu w „obrachunkach muzycznych”. Bo nie wszystko zostało powiedziane.

Nie powiedziano o wielu błędach i lekkomyślności Zakładów Nagrań Dźwiękowych. Wskutek nich zapewne doszło do tego, że w sklepach muzycznych płyty wprowadzają się, ale wyboru — żadnego. A to, co jest, zastanawia często. Zastanawia na przykład, że mając wielu dobrych śpiewaków i śpiewaczki, nie korzystamy z ich talentów. Czyżby więc monopol na nagrania? Jeżeli tak, to źle. Ktoś już pisał o podobnym problemie w radio, słusznie robiąc uwagę pod adresem „dotychczasowego” etatu Calmera.

Ciekawe byłoby usłyszeć np. arie z opery „Pajace” nie w jednym wykonaniu, ale i Paprockiego, i Domienieckiego, i Szopskiego, i Arno; arie z „Halki” w wykonaniu Foltyn, Kaweckiej, Bolesławskiej. Ciekawe i pouczające. Bo na muzyce z płyt można się uczyć łatwiej niż na koncertach. Zawsze bowiem istnieje możliwość powtórnego przesłuchania, porównania różnych interpretacji tego samego utworu. A słuchając utworu kilka razy można go zapamiętać, przeanalizować, zrozumieć. Ot, i najbliższa droga do umuzykalnienia!

Wreszcie chciałbym poruszyć to, co ma bliską analogię z radziecką historią o kolei żelaznej i samolocie. Autor felietonu o płytach pisze: „My tu rozprawiamy nad sposobami produkcji zwykłych płyt, a tymczasem na szerokim świecie zaczynają już wychodzić z mody udoskonalone płyty wolnobrotowe. Ich miejsce zajmuje najświeższy wynalazek: produkowane dla prywatnego, masowego użytku małe aparaty z taśmami magnetofonowymi”. — Gdyż niewiele trudniej chyba wyprodukować magnetofonograf od adaptera, zrobić taśmę od płyty, wydanie się nawet, że i taśma i aparat do niej to rzecz wcale niedroższa w masowej produkcji od „wystużonego dziadka” adaptera. A o ileż korzystniejsza w użyciu!

Więc niech Zakłady Nagrań Dźwiękowych rozbudują szybko dział produkcji taśm magnetofonografów. Przeskakując „okres panowania niewygodnego adaptera i kłopotliwej płyty” znajdźmy się wówczas od razu w epoce magnetofonu”.

Powyższe wypowiedzi przesyłam do rozważenia oddzielnym instytutom i cennikom, a Czytelników naszych prosimy o dalsze listy w tej ciekawej i ważnej sprawie.

„ŚWIAT”

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wileńska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniami wysyłać za granicę oddzielną oraz zamówienia przyjmować Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłóśnodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

podpisano do druku 24.11.54 r.

Zam. nr 656. Papier fotogr. V/80—82 cm — 5-B-11455



PRZEDWCZORAJ I DZIŚ

Droga Pani Mario!

Dziękuję za otwarty i szczery list. Całkowicie się zgadzam, że ze wszystkich skłonności, które przynosimy na świat ze sobą, jedną z najuciążliwszych jest skłonność do tycia...

Po tak szczerym wyznaniu jak to, które mi Pani nadesłała, odpowiadając na pytania: „Czy tusza może być spowodowana przez wiek?” Nie. „Czy tuszę mogą spowodować wadliwie funkcjonujące gruczoły wewnętrzne?” Owszem, ale raczej dość rzadko. Najczęściej tusza jest wynikiem NIEPOHAMOWANEGO APETYTU.

Pani Mario! Szkoda, że mając przecież wcale nieźle działające mózgi, umiejac korzystać ze wspaniatych zdobyczy nauki, kultury i cywilizacji — tak mało w gruncie rzeczy wiemy o samych sobie, o owych tajemnicznych istotach, zwanych ludźmi. No bo czy wiemy dokładnie, jaki tryb życia najlepiej służy ludzkości? Jaki rodzaj odżywiania jest najodpowiedniejszy dla każ-

dego w różnych okresach jego życia?

Człowiek jaskiniowy znał GŁÓD i sycił GŁÓD. Człowiek cywilizowany wymyślił obok tego APETYT i syci APETYT.

Do Marii...

Człowiek głodny zje wszystko co mu podamy, człowiek z apetytem — tylko to, co lubi. Jesteśmy często niewolnikami naszego apetytu (jak to Pani ładnie powiedziała o sobie samej), apetytu powodującego tuszę, która skraca nam życie.

Zdarzyło mi się kiedyś rozmawiać ze starym pracownikiem ubezpieczeniowym, bardzo gorąco i na serio traktującym swój zawód. Odnoślił się z niechęcią i podejrzliwością do ludzi otyłych. Mówił: „Jeden cal w objętości talii więcej — jeden rok życia mniej!” Nie ma w tym wielkiej przesady, upewniam Pani! Obżarstwo powinno być tępione tak jak alkoholizm. Dlaczego? Bo niszczy organizm przez narzucanie mu ilości i jakości, których

ten organizm nie może przetrwać z pożytkiem, powoduje tuszę, zwiększa ciśnienie, obarcza serce nadmierną pracą. Obżartuch sam, z własnej woli, skraca sobie ŻYCIE.

Pisze Pani: „Nie chcę się głodzić, a nie jestem w stanie odmówić sobie ciastka „Mazowsze”, gdy mam na nie ochotę, lub dobrego kotleta wieprzowego...”

Pani Mario! Musimy czuwać nad apetytem naszych dzieci, ale nam samym nie wolno traktować się na równi z dziećmi! Ma Pani 45 lat. Apetyt na tłuste, słodkie, wysoko kaloryczne przysmaki W TYM WIEKU — jest złym przyzwyczajeniem. I to złe przyzwyczajenie przez szacunek dla siebie samej (chęć na ciastko nie do przewyższenia??) musi Pani przetrwać. Nie wolno się głodzić. Prawda! Ale po czterdziestce trzeba uważać, by nie jeść potraw wysoko kalorycznych. Należy zrezygnować z tłuszców POCHODZENIA ZWIERZĘCEGO, bo wpływają na zwiększenie ciśnienia i przyspieszają arteriosklerozę. Należy przejść wyłącznie na tłuszcze pochodzenia ROŚLINNEGO, OLEJE, MARGARYNE.

(Wyobrażam sobie, jak się Pani wzdrgnęła przy słowie „margaryna”! Tyle naszych kobiet zdradza wyraźne objawy niczym nie usprawiedliwionego uprzedzenia, jeśli chodzi o używanie cennej margaryny w gospodarstwie!). Jadać jak najwięcej surówek, jarzyn, owoców, chudego mięsa, pić mleko, jeść biały ser i twaróg! Wystrzegać się śmietany, cukru, słodkich przysmaków!

Nie lubi Pani słuchać o cyfrach i kaloriach! Dobrze. Powiem inaczej. Jeżeli dogodzi Pani swemu apetytowi i zje mały kawałek czekolady, to, aby spalić kalorie i nie utyć, powinna Pani

TAK!



NIE!



— Jeden cal w objętości talii więcej — jeden rok życia mniej!

JESIONKI NA WATALINIE



przejsć 4 kilometry szybkim krokiem. Czy naprawdę robi Pani za każdym razem taki spacer?

Dziś pragnę jeszcze dać Pani takie dwie rady: Zawsze, gdy odczuwa Pani APETYT i oczami wyobraźni widzi Pani wielki kotlet wieprzowy, pływający w tłuszczu, proszę pomyśleć tak:

„Czy koniecznie tłusty kotlet schabowy? Bilans będzie taki: 8 minut przyjemności dla podniebienia, 8 godzin pracy dla żołądka i... rezultat — na długo, długo większy obwód w biodrach”.

Druga rada: Proszę o zrobienie powiększenia z fotografii sprzed kilku lat, gdy, jak Pani pisze, była Pani jeszcze „smukła, młoda i ładna”. Niech Pani spogląda na tę fotografię. Sądzę, że wiele romantycznych wspomnień przyplynie do Pani z tamtych czasów. Czy warto wyrzekać się młodości, smukłości i urody dla... ciastka „Mazowsze” i kotleta wieprzowego?

Z pozdrowieniem

Anna Ziobrowa

CZY UMIESZ CHUDNĄĆ UMIEJĘTNIE?

Nie wolno Ci głodzić się. Dietę odchudzającą możesz przeprowadzać pod warunkiem, że OGÓLNY STAN TWEGO ZDROWIA POZWALA NA ODCHUDZENIE (że nie jesteś osłabiona przebytą chorobą, nie masz dolegliwości nerwicznych

czy sercowych itp.). Gdy czujesz głód nie myśl o chlebie, wyrzeknij się pieczywa, naucz się jadać TWARÓG, BIAŁY SER, MIÓD (zamiast cukru), SURÓWKI Z JARZYN, MLEKO ZSIADŁE I MLEKO SŁODKIE, KEFIR, OWOCE!

Czego chcemy od przemysłu



Pięknych i niedrogich drobiazgów konfekcyjnych! Myślmy o zbliżającej się Gwiazdce!



Szkiele przedwyborcze



— I cóż to za wybory, skoro najlepsi ludzie są za granicą!...



— Dziwna rzecz, ten sam referat czyta-
łem na zebraniu pracowników handlu
i bardzo się podobał...



— Obywatelu, akcja troski o człowieka zakoń-
czona — obecnie zajmuję się akcją wyborczą!...



Duch dziedzica: Próbowałem ich straszyć, żeby
nie współpracowali z radami narodowymi, ale
tam teraz całkiem inny duch panuje...

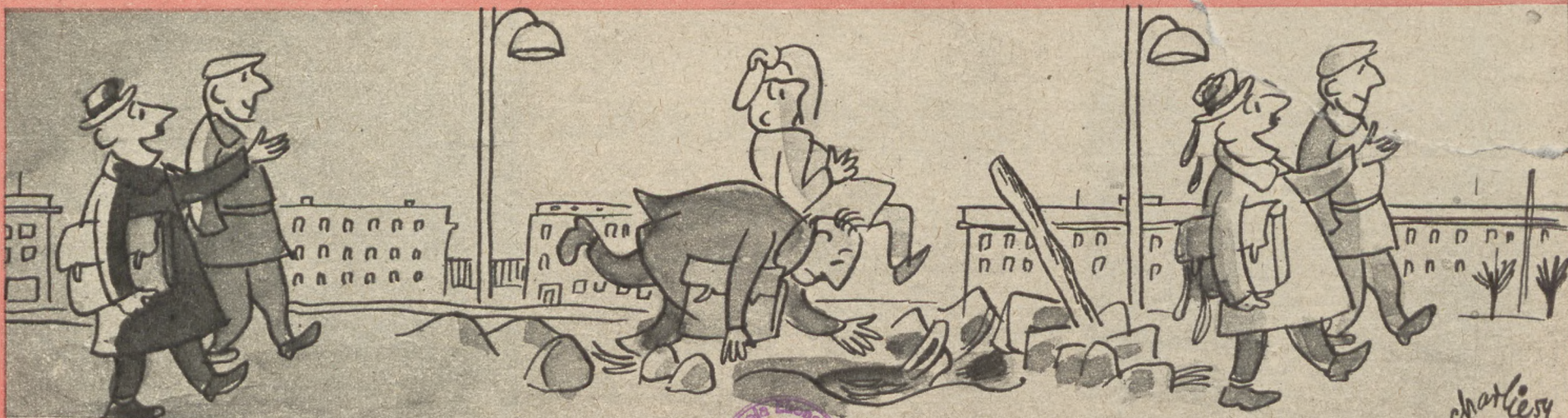
LISTA KANDYDATÓW
FRONTU
NARODOWEGO

POKÓJ
DOBROBYT



— Jakaż to demokracja — tylko taka jedna
lista?...

Rys. K. FERSTER



— Co za wspaniałe zadania dla Stołecznej Rady Narodowej: szkoły, świetlice, stadiony...

...Teatr Wielki Baletu i Opery!...